

# Barbara Cartland

## Diablica

### Punishment of a Vixen



## Od Autorki

W 1903 roku Francuzi zajęli Colomb - Bechar w południowym Maroku, a w rok później Bergnent. W 1905 roku Niemcy wysłali flotę do Tangeru, co stało się przyczyną konfliktu francusko - niemieckiego: Zwołano konferencję w Hiszpanii, w której wzięli udział przedstawiciele trzydziestu państw. Uznano wówczas niepodległość Maroka, zachowując dla Francji i częściowo Hiszpanii uprzywilejowane pozycje.

W 1912 roku oddano Maroko pod protektorat Francji, zniesiony dopiero w roku 1956, kiedy to sułtan Mohammed V podpisał traktat o niezależności swego kraju.

W 1960 roku Agadir, słynny kurort wypoczynkowy, nawiedziło trzęsienie ziemi. W piętnaście sekund miasto zostało zniszczone i zginęło dwadzieścia dwa tysiące osób.

Tafraout, miasto położone w przepięknej dolinie Ammeln, jest nadal okryte tajemnicą jak przed wiekami. Pod koniec lat trzydziestych inżynierowie francuscy z trudem wytyczyli krętą drogę do miasta. Sacheverell Sitwell, który w tym czasie odwiedził Tafraout, był nim tak zachwycony, że uznał je za jedno z trzech najpiękniejszych miejsc w Afryce. Przypuszczał, że był pierwszym Anglosasem, który zobaczył to piękne miasto.

## Rozdział 1

Rok 1903

Odkryty powóz zaprzężony w dwa konie zatrzymał się przed drzwiami willi. Wsiadł z niego dżentelmen.

Gdy płacił woźnicy, który przywiózł go tu ze stacji kolejowej Cannes, usłyszał dźwięki muzyki dochodzącej z głębi domu. Zauważył, że ogród był udekorowany chińskimi lampionami.

Miał tylko jedną skórzaną walizkę. Natychmiast pojawił się lokaj i wniósł ją do holu.

Woźnica zsalutował dziękując za szczodry napiwek i odjechał. Mężczyzna stał przez chwilę na stopniach patrząc w dal, gdzie między wysokimi cyprysami połyskiwało w świetle księżycy Morze Śródziemne.

Widok był przepiękny, a muzyka w tle stwarzała romantyczną atmosferę. Po chwili odwrócił się i wszedł do domu. W holu czekał na niego kamerdyner.

- Dobry wieczór, panie Tyronie - przywitał się z dostojnym uśmiechem. - Oczekiwaliśmy pana wczoraj, sir.

- Tak, wiem, Ronaldsonie - rzekł przybysz. - Pociąg ze Wschodu spóźnił się jak zwykle. Przybył do Paryża zbyt późno, bym mógł złapać połączenie.

- Jaśnie pani będzie niezmiernie rada, że dotarł pan bezpiecznie.

- Nie zawiadamiaj jej, dopóki nie umyję się i nie przebiorę - rzekł Tyrone Strome. - Zauważyłem, że wydaje przyjęcie,

- Tak, panie Tyronie, obiad i potańcówka dla młodzieży. - Głos kamerdynera wyrażał niemal pogardę.

Tyrone Strome roześmiał się. Doskonale wiedział, że Ronaldson, od wielu już lat związany z rodziną jego siostry, nie pochwalał tego rodzaju „nieoficjalnych uroczystości”.

- Pokaż mi, gdzie będę spał - rzucił. - Podróżuję bez bagażu, wątpię więc, czy znajdę coś na tyle wytwornego, by pójść na przyjęcie.

- Wiedząc, sir, że bez wątpienia zabawi pan u jaśnie pani - odparł Ronaldson - zabrałem z Londynu komplet pańskich ubrań wieczorowych.

Tyrone Strome uśmiechnął się.

- Jestem ci Ronaldsonie niezmiernie wdzięczny, za to, że tak wspaniale dbasz o mnie. Życzyłbym sobie jedynie, bym mógł zabierać cię ze sobą w podróż.

- Niech Bóg broni, panie Tyronie! - wykrzyknął kamerdyner. - Gdybym był młodszy, pański tryb życia pociągałby mnie niezmiernie, lecz w moim wieku nie myśli się już o przygodach.

Tyrone Strome zaśmiał się cicho i podążył za Ronaldsonem, który wolno i dostojnie szedł korytarzem na parterze willi mijając po drodze kilka salonów.

Wiedział, że będzie zajmował te same pokoje, które zawsze przypadły mu w udziale, gdy bawił u siostry.

Dni jego przyjazdu oraz wyjazdu były jednak zawsze tak nie sprecyzowane, że nie liczył na jakieś szczególne traktowanie. Wiedział jednak, że Ronaldson byłby niepokieszony, gdyby nie ulokował go w odpowiednim apartamencie.

Pokoje, do których w końcu dotarli, zostały niegdyś dobudowane do willi i połączone z nią długim, krytym przejściem.

Poprzednim właścicielem był literat, który potrzebował do pracy spokoju i odosobnienia. Wybudował więc sobie coś, co było, praktycznie rzecz biorąc, małym domkiem wypoczynkowym.

Domek zbudowany był na skraju wąwozu, z jego okien rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na morze i wybrzeże.

Wzniesiona na wzgórzu willa lady Merrill położona była niezwykle malowniczo, lecz ten mały dobudowany domek, do którego jej brat przyjeżdżał jak do swojego własnego domu, położony był chyba jeszcze piękniej niż sama willa.

- Wszystko przygotowano dla pana, sir Tyrane - oznajmił z satysfakcją kamerdyner. - Wysłałem też lokaja, aby rozpakował pańską walizkę. Jest wprawdzie Francuzem, lecz dobrze wykonuje swoje obowiązki.

- Dziękuję ci, Ronaldsonie. W porcie cumuje mój jacht. Mam na nim trochę rzeczy, po które mogę posłać.

- Sądzę, sir, że na dzisiejszy wieczór znajdzie pan wszystko co potrzeba.

- Jestem o tym przekonany.

Mówiąc to Tyrone Strome wszedł na wąskie schody prowadzące z salonu gościnnego do sypialni.

Wszedł do przytulnego pokoju, umeblowanego na biało. Na krześle leżały już przygotowane frak i wykrochmalona koszula.

Skrzywił się, myśląc, jak będzie mu w tym niewygodnie, szczególnie po trzech ostatnich miesiącach, gdy nosił tylko luźne stroje. Czas ten spędził na Wschodzie podróżując incognito. Pod obcym nazwiskiem wypełniał tajną i niebezpieczną misję dyplomatyczną.

Z Paryża wysłał raport, którego przygotowanie zajęło mu prawie całą noc. Wiedział, że pewne osobistości w Londynie będą nad wyraz rade z tego, co udało mu się osiągnąć.

Tyrone Strome był człowiekiem zagadkowym zarówno dla znajomych i przyjaciół, jak też dla swojej siostry, która go wprost uwielbiała.

Przez kilka lat pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Potem niespodziewanie zaczął podróżować do najdalszych zakątków świata. Wyjeżdżając nie zostawiał żadnego adresu, a po powrocie niechętnie opowiadał o swoich podróżach.

Dla wielu był po prostu niepoprawnym podróżnikiem. Jedynie w pewnym tajnym departamencie Ministerstwa Spraw Zagranicznych nazwisko Tyrone'a Strome'a wymawiano zawsze z respektem i szacunkiem.

Teraz, gdy mógł już zrzucić z siebie napięcie, stale mu towarzyszące przez ostatnie miesiące, poczuł się bardzo zmęczony.

Zdawał sobie sprawę, że była to reakcja na długotrwały stres. Musiał być czujny, gdy otwierał jakiegokolwiek drzwi, a gdy z kimś rozmawiał, zawsze miał się na baczności i starannie dobierał każde słowo.

Teraz już po wszystkim - pomyślał.

Zamierzał przyjemnie spędzić czas ze swą siostrą Helen, nie planując przyszłości aż do chwili, kiedy otrzyma kolejne zadanie.

Gdy zaczął się rozbierać, usłyszał pukanie do drzwi. Wszedł lokaj, przysłany przez Ronaldsona.

- Przyszedłem rozpakować rzeczy, monsieur - powiedział po francusku.

- Doskonale - odparł Tyrone Strome. - Do rozpakowania jest tylko jedna walizka.

Wskazał na walizkę stojącą przy szafie, tam gdzie postawił ją lokaj, po czym rzucił płaszcz na krzesło i wszedł do łazienki.

Do najprzyjemniejszych udogodnień w willi siostry należały nowocześnie urządzone łazienki, rzadko jeszcze spotykane w Europie.

Amerykanie, lubiący się często kąpać - myślał Tyrone Strome - są podobni pod tym względem do starożytnych Rzymian. Z pewnością w każdym domu, w którym mieszkali, znajdowało się co najmniej kilka luksusowo urządzonych łazienek.

W Europie, szczególnie w Anglii, miało się do wyboru albo wannę w sypialni, w której można było kąpać się tylko na siedząco, a wodę w blaszanych bańkach wносиła spocona służba po niezliczonych schodkach, albo też łazienkę znajdującą się na końcu długiego, zimnego korytarza, gdzie godzinami trzeba było czekać, aż z kranu z gorącą wodą polecą coś, co miało najwyżej letnią temperaturę.

Leżąc w głębokiej, ciepłej i wygodnej wannie, Tyrone czuł, jak zmywa z siebie nie tylko kurz podróży, lecz także wszystkie niepokoje, które czyniły z jego ostatniej eskapady przerażające doświadczenie.

Było to jedno z najtrudniejszych zadań, jakie kiedykolwiek wykonywał. Postanowił, że osiągnięty sukces wynagrodzi sobie bardzo długim, beczynnym urlopem.

Zamierzał go spędzić z siostrą, która była jedynym bliskim członkiem jego rodziny, i do której czuł ogromne, niemal nabożne przywiązanie.

Lady Merrill była czternaście lat starsza od brata. Zastępowała mu matkę, która zmarła, gdy Tyrone był jeszcze malutkim chłopcem.

Trzy lata temu owdowiała, miała jedyne, ukochanego syna Davida, obecnie lorda Merrilla.

Gdy ostatnio Tyrone był w gościnie u siostry, David studiował w Oksfordzie. Nie widział więc siostrzeńca już od dwóch lat.

Cieszył się na myśl spotkania z Davidem, ale zdawał sobie też sprawę, że siostrzeniec, teraz dwudziestoletni młodzieniec, bez wątplenia prowadzi intensywne życie towarzyskie, więc w

willi nie będzie tak cicho i spokojnie jak dawniej. Z pewnością każdego wieczora będą odbywać się przyjęcia z tańcami, do których oczywiście Ronaldson odnosi się z dezaprobatą.

Powiedział więc sobie, że w takim razie albo będzie spędzał wieczory w swoim domku, pogrążając się w lekturze, albo też będzie nocował na pokładzie swojego jachtu.

Nie miał zamiaru stać się częścią tej pstrej, barwnej i błyszczącej scenografii, która sprawiała, że Riwiera została jednym z najwytworniejszych kurortów Europy.

Odkąd Monte Carlo stało się stolicą hazardu, przybywały tu rzesze znanych i nieznanymi postaci. Król, bawiąc w Cannes, jeszcze wtedy gdy był tylko księciem Walii, dodał splendoru i wytworności temu małemu miasteczku.

Teraz bogacze i wielcy tego świata, politycy i karierowicze ściągali zewsząd i szukali posiadłości, by móc się osiedlić gdzieś w sąsiedztwie.

- Jedyne, czego pragnę, to spokój - rzekł do siebie Tyrone Strome.

Mógł polegać na siostrze, że nie będzie go traktowała jak ważną osobistość, tak jak wielu innych jego znajomych.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego traktowano go w taki sposób.

Tyrone Strome nie tylko był interesującym i zamożnym młodym mężczyzną pochodzącym ze znakomitej rodziny, lecz był również niezwykle przystojny. Intrygującą osobowością wywierał ogromne wrażenie, szczególnie na kobietach.

Nie miały one oczywiście pojęcia, jak niebezpieczny tryb życia prowadził.

Był niezrównany w tym, co osiągnął przez ostatnie parę lat i co tak odbiło się na jego osobowości, że stawał się obiektem zainteresowania, gdziekolwiek się pojawiał.

Teraz wycierał się po kąpieli. Jego smukła, wysportowana sylwetka przywodziła na myśl posąg greckiego boga.



Był doskonale zbudowany, nic więc dziwnego, że kiedy wszedł do sypialni, francuski lokaj, który czekał w pogotowiu, by pomóc mu ubrać się w strój wieczorowy, wpatrywał się w niego z zachwytem.

Tyrone Strome rozmawiał z nim w doskonałej francuszczyźnie. Wreszcie, gdy do włożenia pozostał już tylko frak, odprawił go.

- Możesz odejść.
- Posprzątam później, monsieur.
- W porządku.

Tyrone Strome poczekał, aż lokaj wyjdzie z pokoju, wyłączył światło, przeszedł przez sypialnię i wyszedł na balkon.

Pragnął rozkoszować się pięknem widoku morza, rozpościerającego się w dole i niebem usianym gwiazdami.

Urok tego miejsca działał na niego kojąco, tak jak dotknięcie zimnej dłoni gasi żar rozpalonego czoła.

W powietrzu unosił się zapach mimozy. Rankiem purpurowe bugenwille i pnące się z balkonu różowe, pachnące geranium rozbrzmiewać będą brzęczeniem pszczół.

Miejsce to emanowało rodzinnym ciepłem i spokojem. Gdy Tyrone oparł się na balustradzie balkonu, poczuł słabiutkie tchnienie wiatru znad morza. Zastanawiał się, czy zrezygnować z przyjęcia i zostać w tym pięknym miejscu sam na sam ze swoimi myślami.

Nie miał nastroju do słuchania głośnej muzyki, męczył go gwar tryskającej energią młodzieży, korowody taneczne i strzelanie korków od szampanów.

Potem doszedł jednak do wniosku, że właściwie potrzebuje jakiejś odmiany.

Umysł, do tej pory skupiony na problemach i trudnościach wykonywanego zadania, potrzebuje trochę czasu, by odpocząć, a zmysły, by się odprężyć.

Właśnie patrzył na srebrzyście mieniące się w świetle księżycyca morze i na zamglony horyzont, gdy usłyszał dochodzące z dołu głosy.

- Wysłuchaj mnie, Nevado, błagam! Musisz mnie wysłuchać!

Mężczyzna mówił to błagalnym tonem, który wydał się Tyronowi prawie krzykiem rozpaczny.

- Dla mnie słowo „muszę” nie istnieje - odparła kobieta.

- Unikasz mnie, Nevado. To mnie doprowadza do szaleństwa! Dlaczego się zmieniłaś? Dlaczego traktujesz mnie w taki sposób?

- W jaki sposób?

Słowa były wymawiane przeciągle, jakby z obcym akcentem.

- Dobrze wiesz, co mam na myśli. Byłaś dla mnie tak miła i słodka, a gdy poczułem się już jak w siódmym niebie, nagle straciłaś mnie w najgłębszą otchłań piekła!

- Och, Davidzie, jakie to poetyczne!

- Na litość boską, czy mogłabyś poważnie traktować to, co mówię? Kocham cię, Nevado, a ty doprowadzasz mnie do obłądu!

Kobieta roześmiała się.

- Jakże jesteś komiczny. Dlaczego mężczyźni zawsze mówią to samo? Twój zasób słów jest bardzo ograniczony.

- Kpisz sobie ze mnie, chcesz mnie jeszcze bardziej unieszczęśliwić. Jak możesz być tak okrutna, tak bezlitosna?

Znowu się roześmiała.

- Narzekania... ciągłe narzekania! Nie mogę pojąć dlaczego mężczyźni są zawsze niezadowoleni.

- Przestań mówić o innych mężczyznach.

Tyrone Strome domyślił się już, że mówił to jego siostrzeniec, David Merrill.

- Nie obchodzi mnie, co myślisz o innych mężczyznach, lecz to, co czujesz do mnie. Kocham cię, Nevado. Chcę, byś wyszła za mnie. Prosiłem cię już tyle razy! Jeśli będziesz w dalszym ciągu kpić sobie ze mnie i wystawiać mnie na pośmiewisko, zrobię coś strasznego!

- Grasz komedię, Davidzie. Doprawdy, na scenie mógłbyś zarobić fortunę! Ciekawa jestem, cóż strasznego mógłbyś zrobić?

Przez chwilę panowała cisza. Potem David rzekł uroczyście:

- Jeśli chcesz znać prawdę, myślałem o tym, by się zastrzelić.

Jego towarzyszka wybuchnęła śmiechem.

- Jakie to banalne! Myślałam, że chociaż ty wymyślisz coś oryginalnego! Wszyscy moi usychający z miłości adoratorzy grożą, że się zastrzelą, lecz żaden z nich tego nie zrobił!

- Pewnego dnia doznasz wstrząsu!

- Wstrząs to za wiele powiedziane. Może mnie to co najwyżej zaskoczy! Z pewnością byłoby interesujące zobaczyć martwego człowieka... Jak dotąd nie miałam takiej okazji.

- Nevado! Nie wolno ci tak mówić! Kocham cię! Ile jeszcze razy mam ci to wciąż powtarzać? Kocham cię rozpaczliwie! Nie mogę spać myśląc cały czas o tobie. Powiedz, że wyjdiesz za mnie! Przysięgam, że uczynię cię szczęśliwą.

- Jeśli chcesz wiedzieć, możesz mnie tylko unieszczęśliwić - odparła Nevada. - Mówiąc szczerze, Davidzie, nie mam zamiaru obarczyć się mężem, który jest tylko kapryśnym chłopcem.

- Jestem mężczyzną, i jeśli nie będziesz traktowała mnie jak mężczyznę, udowodnię ci, że to prawda - mówiąc zbliżył się do niej.

- Nie waż się mnie tknąć! - niemal warknęła. - Wiesz, że nikomu nie pozwalam się dotykać. Tak naprawdę pogardzam tobą, ponieważ miłość, którą mi ofiarowujesz, nie jest nic warta.

- Dlaczego tak mówisz?

- Jesteś słaby i bezmyślny, i w ogóle mógłbyś znaleźć sobie lepszy sposób na życie niż kończyć z nim. Jeżeli kiedykolwiek wyjdę za mąż, co jest mało prawdopodobne, to wiedz, że będzie to mężczyzna, który mocno stoi na nogach... mężczyzna, który osiąga w życiu to, czego pragnie, i nie poddaje się przy byle porażce.

- Sądysz, że właśnie tak się zachowuję? - zapytał z wściekłością David.

- Myślę, że jesteś młody, niedoświadczony... i nudny!

- Ale ja cię kocham!

- Nie potrzebuję takiej miłości.

- Kiedyś chyba mnie lubiłaś.

- Owszem, zanim dobrze cię poznałam. Czy kiedykolwiek zadałeś sobie pytanie, co masz do zaoferowania kobiecie... oprócz, rzecz jasna, tytułu?

Nie było wątpliwości, że Nevada zamierzała być złośliwa.

- Jeżeli takie żywisz do mnie uczucia, to nie ma o czym mówić.

- W istocie, nie ma o czym - przytaknęła Nevada - i zostaw mnie już w spokoju. Znajdź sobie inną kobietę, by przed nią jęczeć i skamlać. Niektóre lubią poszczekiwanie salonowych piesków.

Powiedziawszy to, odeszła. Tyrone'a, który stał na balkonie i dokładnie słyszał całą rozmowę, dobiegł odgłos stukających obcasów na wybrukowanej ścieżce.

Wychylił się z balkonu i dostrzegł siostrzeńca. Jego sylwetka rysowała się na tle ciemnych cyprysów. Wpatrywał się w morze, najwyraźniej pogrążony w rozpacz. W pewnej chwili Tyrone dostrzegł, że David wyjął coś z kieszeni.

Instyktownie wyczuwając niebezpieczeństwo, gwałtownie przerzucił nogi przez balkon, opuścił się na rękach i zeskoczył na ziemię.

Gdy tak niespodziewanie pojawił się przed siostrzeńcem, ten spojrział na niego z osłupieniem. W dłoni trzymał rewolwer.

Tyrone podszedł bliżej.

- Witaj, Davidzie - przywitał się. - Zdaje się, że zjawiłem się nie w porę.

- Wujek Tyrone! - wykrzyknął David.

- We własnej osobie!

Wyjął rewolwer z ręki siostrzeńca i włożył go do kieszeni swoich spodni.

- Obawiam się, że podsłuchiwaniami niewiele ci pomogłem - rzekł cicho - lecz ujawnienie mojej obecności mogło okazać się kłopotliwe.

David Merrill usiadł na krześle stojącym w ogrodzie i ukrył głowę w dłoniach.

- Co mam robić, wujku? - zapytał. - Ona doprowadza mnie do szaleństwa!

- Zauważyłem.

Tyrone Strome usiadł obok siostrzeńca i po chwili odezwał się:

- Zapewne nie lubisz wysłuchiwać komunałów, a ja nie zamierzam ich wygłaszać. Przedłożę ci jednak pewną propozycję. Może będzie to lepsze rozwiązanie niż pozostanie tutaj i pogrążanie się w rozpacz.

- A cóż jeszcze mogę zrobić? - zapytał David z przygnębieniem. - Początkowo wydawało się, że mnie lubi.

Potem nagle okazało się, że pierwszy lepszy mężczyzna wzbudza w niej większe zainteresowanie niż ja. Kocham ją, nie jestem w stanie myśleć o niczym poza Nevada. Jeśli nie wyjdzie za mnie, równie dobrze mogę nie żyć!

- Powiedziałem, że mam inną propozycję. Czy chcesz wysłuchać?

- Chyba tak. Powiedział to z nieufnością.

- Ostatniej nocy byłem w Paryżu - rzekł Tyrone Strome. - Tam przypadkiem spotkałem trzech moich przyjaciół, których znam od bardzo dawna. Wkrótce wyruszają do Afryki polować na grubego zwierza. Pytali mnie, czy nie chciałbym do nich dołączyć. Mieli wyruszyć we czterech, lecz jeden zrezygnował.

Zauważył, że siostrzeniec słucha z uwagą.

- Zamierzają nie tylko polować. Chcą też przeprowadzić badania nie odkrytych jeszcze obszarów Afryki Środkowej.

Milczał przez chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że tego rodzaju wyprawy mogą cię nie interesować, ale mogę przysiąc, że moi przyjaciele są niezwykle sympatyczni, a poza tym są doskonałymi myśliwymi i doświadczonymi podróżnikami.

- Chcesz powiedzieć, że mógłbym z nimi pojechać? - zapytał David posępnym głosem.

- Czemu nie? Możesz oczywiście zostać i dalej pograżać się w rozpaczę próbując namówić tę kobietę do zrobienia czegoś, czego najwyraźniej nie zamierza uczynić. Czujesz chyba w głębi serca, że jest mało prawdopodobne, by zmieniła zdanie.

Tyrone Strome był przekonany, że Nevada to niezwykle niesympatyczna młoda kobieta, której jego siostrzeniec powinien unikać jak ognia.

Był jednak zbyt taktowny i za bardzo szanował cudze uczucia, by powiedzieć coś niemiłego o obiekcie westchnień Davida.

- Czy sądzisz, że gdybym wyjechał z twoimi przyjaciółmi, Nevada zatęskniłaby za mną?

- Sądzę, że wszystkie kobiety tęsknią za swymi adoratorami, gdy ich nie ma w pobliżu - odparł Tyrone roztropnie. - Sądzę też, Davidzie, że po takiej podróży twoje poglądy na życie mogą zmienić się radykalnie.

- Chcesz powiedzieć, że zapomnę o Nevadzie? Tak się nigdy nie stanie - wykrzyknął David gwałtownie.

- Nie sugeruję niczego podobnego. Myślę tylko, że staniesz się o wiele bardziej interesującym człowiekiem. Powszechnie wiadomo, że podróże poszerzają horyzonty. Oczywiście w znacznym stopniu zależy to od rodzaju tych podróży. Zapewniam cię jednak, że Afryka jest miejscem wielkich możliwości i ciągle jeszcze pełnym niezbadanych tajemnic.

- Wiem o tym - mruknął David.

- Oczywiście, może cię to nie interesować - kontynuował Tyrone - lecz musisz wiedzieć, że w Krajowym Towarzystwie Geograficznym podróżnicy uważani są nawet nie za pionierów, lecz bohaterów.

- Jeżeli pojedę - rzekł David cicho - Nevada może pomyśli, że nie jestem aż tak pozbawiony odwagi.

Nastąpiła cisza, którą po chwili przerwał Tyrone.

- Jest tylko jeden problem.

- Jaki?

- Musisz wyjechać jutro! Zadzwoń do moich przyjaciół, by ich powiadomić o twoim przyjeździe. Jeśli się nie mylę, wypływają z Marsylii jutro późnym wieczorem.

Zapadła cisza. Po dłuższym milczeniu David oznajmił głośno:

- Jadę! Niech to diabli, jadę! Przynajmniej pokażę Nevadzie, że nie żyję tylko po to, by sobie igrała ze mną.

- Jestem przekonany, że dokonujesz mądrego wyboru, Davidzie.

David skoczył na równe nogi.

- Powiedz, co powinienem zabrać ze sobą.

- Oczywiście nie przejmuj się tym. Mam na jachcie trochę broni. Myślę, że może ci się przydać.

- Pożyczysz mi broń? To bardzo miło z twojej strony, wujku Tyronie.

Wuj usłyszał w głosie Davida nutę podniecenia. Po chwili dodał zaniepokojonym tonem:

- Matka! Co ona na to powie?

- Proponuję, byś pozostawił to mnie - odparł Tyrone. - Nie mów jej nic, dopóki sam z nią nie porozmawiam. Nawiasem mówiąc, powinienem ją niezwłocznie odnaleźć i przywitać się z nią. Możemy pójść do niej razem. Pozwól tylko, że wezmę frak.

- Przyniosę ci - zaproponował David Merrill. - Jest w twoim pokoju?

- Tak, leży na krześle.

David skierował się w stronę domku, ale zatrzymał się na chwilę.

- A tak w ogóle, wujku Tyronie, bardzo zrecznie zeskoczyłeś z balkonu. Sam bym się dobrze zastanowił, zanim bym to zrobił.

- Czyżby zdumiał cię fakt, że uczynił to twój zramolały wuj? - zapytał Tyrone z rozbawieniem w głosie.

- Tego nie powiedziałem.

- Ale z pewnością tak sobie pomyślałeś. Ale to nieważne. Przyniesz frak, a potem znajdziemy twoją matkę.

Drogi Tyronie, czy ta wyprawa do Afryki będzie dla Davida bezpieczna?



- On musi zahartować się, okrzepnąć, Helen - odparł jej brat. - Sądząc po tym, co usłyszałem, domyślam się, że ten swój pierwszy romans traktuje bardzo poważnie.

Helen Merrill westchnęła.

Choć miała już czterdzieści pięć lat, była nadal bardzo piękna. Wielu mężczyzn zabiegało o jej względy i błagało, by zechciała ich poślubić. Odrzucała jednak ich oświadczyzny tylko ze względu na Davida, swego ukochanego syna.

- Nevada van Arden jest bardzo piękna - westchnęła. - Można zrozumieć Davida. Wielu młodzieńców traci dla niej głowę.

- Sądząc po jej rozmowie z Davidem, której byłem świadkiem, stanowi ona doskonały przykład najbardziej nieczulej, pustej, nowoczesnej kobiety, na jakie natrafiam ostatnio dość często.

Siostra spojrzała zaskoczona.

- Nie widziałeś jej jeszcze, dlatego pewnie tak mówisz.

- A tak na marginesie, nie widziałem jej na przyjęciu...

- Wybrała się z paroma sąsiadami na przejażdżkę samochodem. Nie pochwalam tego, ale tak naprawdę ona nie pyta mnie o zgodę.

- Mimo że przebywa w twoim domu? Nadzwyczaj złe maniery!

Lady Merrill uśmiechnęła się.

- Jesteś bardzo staroświecki, Tyronie. Amerykańskie dziewczęta, takie jak Nevada, cieszą się znacznie większą niezależnością od swych angielskich rówieśniczek.

- Zapominasz, że nic o niej nie wiem.

- Pozwól więc, że ci powiem: Nevada van Arden jest jedną z najbogatszych spadkobierczyń w Ameryce.

- Domyśliłem się, że jest Amerykanką Nadmiar pieniędzy zdaje się sprawił, że jest bardzo rozpuszczona.

- Obawiam się, że to prawda - rzekła lady Merrill. - Choć muszę ci powiedzieć, że jej matka, z którą przyjaźniłam się jeszcze w szkole, była jedną z najśłodszych i najmiłszych osób, jakie kiedykolwiek znałam. Elizabeth była córką lorda Fenbridge, wyszła za mąż za Clinta van Ardena rok po tym, jak przedstawiono ją w towarzystwie. Zdaje się, że była bardzo szczęśliwa.

Tyrone słuchał tego z cynicznym uśmiechem.

- Pisywałyśmy do siebie, choć oczywiście trudno jest podtrzymywać przyjaźń z kimś, kto mieszka po drugiej stronie Atlantyku. Potem, kiedy Nevada miała osiem czy dziewięć lat, Elizabeth umarła, pozostawiając w rozpaczy męża, ojca Nevady.

- Skąd o tym wiesz?

- Opowiadali mi moi amerykańscy przyjaciele - odparła lady Merrill. - Clint van Arden zajęty był wyłącznie robieniem pieniędzy, i zdaje się, mało czasu poświęcał swemu jedynemu dziecku.

- Starasz się wzbudzić dla niej moje współczucie - rzekł Tyrone Strome oskarżycielskim tonem - lecz jeśli mam być szczery, Helen, współczucie to ostatnia rzecz, jaką mogę jej ofiarować.

- Byłaby urażona, gdybyś jej współczuł - odparła lady Merrill. - Jest bardzo pewna siebie i absolutnie przekonana, że świat został stworzony po to, by ona po nim chodziła. Ale prawda jest taka, że ona nie chodzi po ziemi, ale depta po sercach.

Zauważyła pogardę w oczach brata, lecz ciągnęła dalej.

- Wstrzymaj się z osądem, dopóki jej nie poznasz. Zrozumiesz wtedy, dlaczego mój biedny David i inni podobni do niego młodzieńcy nie mogą jej się oprzeć.

Lady Merrill przerwała, potem rzekła drżącym głosem:

- Och, Tyrone, tak bardzo się o niego martwię.

- Rozumiem cię doskonale.

Nie powiedział siostrze o groźbach Davida, że odbierze sobie życie, ani o tym, że przyłapał go z rewolwerem w ręku. Chyba jednak lady Merrill wiedziała więcej, niż przypuszczał, bo po chwili rzekła:

- Sądzę, że masz rację, Tyronie. Jeżeli David wyjedzie, być może zapomni o Nevadzie.

- Nie chodzi o to, by o niej zapomniał - rzekł Tyrone - ale żeby zdał sobie sprawę z tego, jaka jest pusta i bezwartościowa.

Mówił coraz bardziej podniesionym tonem.

- Nie mogę sobie wyobrazić jak to się dzieje, że mężczyzna, który ma trochę rozumu, chce się żenić z istotą pozbawioną wszelkich kobiecych przymiotów.

Siostra uśmiechnęła się.

- Spotkałeś, Tyronie, w swoim życiu wiele kobiet mających te cechy, jednak jak dotąd nie ożeniłeś się.

- Żadna nie wydała mi się tak atrakcyjna jak ty, ani z wyglądu, ani podczas rozmowy, moja droga.

Roześmiała się.

- Pochlebiasz mi!

- Nie, mówię prawdę. Kobiety, które spotykałem, wydawały się być powabne, dopóki nie zacząłem z nimi rozmawiać. Niezwykle mnie intrygowały, ale tylko do chwili, gdy nie starały się zmienić mojego trybu życia.

- Ależ, Tyronie, nie możesz do końca życia zostać kawalerem.

- Dlaczego nie?

- Byłoby to ogromne marnotrawstwo, a poza tym pragnęłabym bardzo widzieć ciebie w otoczeniu dzieci.

Lady Merrill westchnęła.

- Gorzko ubolewam nad tym, że mam tylko jedno dziecko. Pragnęłam mieć ich wiele, ale jak wiesz, po

urodzeniu Davida lekarz orzekł, że nie mogę mieć więcej dzieci.

Tyrone wyciągnął rękę i położył na dłoni siostry.

- Na dzieci jest już za późno, Helen, lecz chciałbym zobaczyć cię jeszcze jako szczęśliwą mężatkę. Z pewnością masz wielu kandydatów do ręki.

Siostra uśmiechnęła się.

- Jednego czy dwóch, lecz mam wrażenie, że powinnam poświęcić się Davidowi, dopóki się nie usamodzielni. Tkwi w nim jakaś nieokiełznana namiętność, która ogromnie mnie niepokoi.

- To cecha dojrzewania, Helen. Mąż pomógłby ci zrozumieć Davida i pokierować nim.

- Z pewnością nie przyszłoby mi do głowy, by wysyłać go do Afryki.

- To będzie dla niego zbawienne, nawet jeśli rozstanie z nim będzie dla ciebie bolesne.

- Szczerze mówiąc bardzo cieszyłby mnie jego wyjazd, gdybym miała pewność, że zapomni o Nevadzie. Doprowadziła go do rozpacz, a teraz to samo próbuje zrobić z młodym Dundonaldem.

- Synem Geralda? - zapytał Tyrone.

- Tak. Pamiętasz go? Taki miły chłopiec. Lady Merrill przerwała, po czym rzekła:

- Oczywiście, ma powód, by wyjść za niego: pewnego dnia Gerald zostanie markizem. Amerykanie uwielbiają tytuły.

- A więc o to jej chodzi - w każdym razie wiadomo, dlaczego odrzuca Davida.

- Nie wiem, może sady, że markiz jest lepszą partią. W głosie lady Merrill pobrzmiwała gorycz, co sprawiło, że jej brat zacisnął wargi. Potem z pewnym wysiłkiem dodała:

- A propos tytułów, Tyronie, mówiono mi, że odmówiłeś przyjęcia tytułu komandora Orderu św. Michała i św. Jerzego. Dlaczego?

- Kto ci to powiedział?

- Ktoś, kto zna cię i nad wyraz szanuje.

- Powinien więc być na tyle inteligentny, by trzymać język za zębami.

- A jednak to prawda. Proponowali ci tytuł komandora Orderu?

- Być może proponowali - rzekł wymijająco. - Ale dałem dość wyraźnie do zrozumienia, że nie jestem zainteresowany ani tytułami, ani orderami.

- Byłabym z ciebie bardzo dumna.

- Czy naprawdę potrzeba tytułów, żebyś mogła być ze mnie dumna?

- Nie, oczywiście, że nie. Wiesz przecież, iż dla mnie jesteś wspaniałą, i że zawsze tak uważałam! Nikt nie jest w stanie ci dorównać, Tyronie. Chciałabym tylko, żeby cały świat wiedział, że jesteś wyjątkowy.

Tyrone Strome roześmiał się, po czym wstał.

- Gdy jestem w Londynie albo na Riwierze uświadamiam sobie, jak mały jest ten pełen blichtru światek wobec ogromu całego świata.

- Pewnie tak jest - przyznała siostra - lecz niezależnie od tego, co robisz i czego nie robisz, Tyronie, kocham cię. Zawsze będziesz najlepszym i najwspanialszym bratem, jakiego można mieć.

- Zaufaj mi zatem i pozwól, bym zrobił to, co uznam za korzystne dla Davida.

- Ufam ci i jestem przekonana, naprawdę przekonana, że masz słuszność.

- Tak, w istocie mam rację.

Tyrone Strome wstał z krzesła, by pocałować siostrę w policzek.

- Idę spać, moja droga. Omówimy wszystko rankiem. Nie zapomnij, że David wyjeżdża pociągiem o drugiej.

- Ronaldson dopilnuje wszystkiego - rzekła lady Merrill. - Słyszałam, jak David upominał go, by wszystko było gotowe.

- Ronaldson nie zawiedzie. On nigdy jeszcze nikogo nie zawiódł - uśmiechnął się Tyrone. - Dobranoc, moja droga. Spróbuj zasnąć. Pozostałe sprawy rozstrzygną się dopiero rano.

Wychodząc z sypialni uśmiechnął się do niej i zszedł na dół, by udać się do swojego pokoju.

Była już późna noc albo raczej wczesny ranek. Służba, posprzątawszy po przyjęciu, udała się na spoczynek.

Willa była uśpiona. Zostawiono tylko lampy w holu, które oświetlały wazon z liliami poustawiane na stolikach.

Kwiaty te były dla Tyrone'a symbolem czystości. Cieszył się ich widokiem, ilekroć przyjeżdżał do południowej Francji.

Wpatrywał się w lilie. Umiejętna kompozycja uwydatniała ich doskonale, subtelne piękno. Nagle drzwi wejściowe otworzyły się i ktoś wszedł.

Odwrócił głowę. Była to dziewczyna.

Na białą suknię miała zarzucony biały szal. W pierwszej chwili wydawało się, że jest równie czysta i tak samo doskonała jak kwiaty, na które przed chwilą patrzył.

Gdy zamknęła za sobą drzwi i zdjęła białą, szyfonową apaszkę osłaniającą głowę, zobaczył, że jej włosy były oślepiająco rude, o odcieniu, który upodobali sobie malarze.

Miała drobną twarz o doskonałych rysach i ogromne oczy, które wydawały się być zbyt duże, by mogły być prawdziwe.

Najpierw myślał, że były czarne, ale gdy się odwróciła do światła, okazało się, że były zielone.

Dziewczyna spojrzała na niego. Wpatrywali się w siebie z uwagą. Po chwili odezwała się:

- Kim pan jest?

Gdy tylko usłyszał jej głos, od razu domyślił się, kim jest.

- Jestem Tyrone Strome - odpowiedział. - Brat lady Merrill i wuj Davida.

Z naciskiem wymówił dwa ostatnie słowa. Na pąsowych ustach Nevady zaigrał ledwo dostrzegalny uśmiech.

- Ach, oczywiście! Oczekiwano wczoraj pańskiego przyjazdu. David często opowiadał mi o panu.

- Ja również dużo słyszałem o pani, panno van Arden.

- I wszystko, jestem o tym przekonana, co niekorzystne.

- W istocie!

Słowa były wypowiedziane cicho, a mimo to zabrzmiały jak zniewaga.

Spojrzała na niego spod długich, czarnych, wywiniętych rzęs.

- A więc, odkrywca, podróżnik, dżentelmen, którego bohaterskie czyny są spowite tajemnicą ma skłonności do krytykowania!

- Czy spodziewała się pani czegoś innego?

- Niczego się nie spodziewałam, panie Strome. Zdumiewające jest tylko to, że jest pan nieprzychylnie nastawiony.

- Tylko wobec pewnych osób.

- A mnie w szczególności.

Nevada wykonała ręką gest, który, musiał przyznać, był pełen wdzięku.

- Sama pani stawia się w takiej roli, panno van Arden, i naraża się w ten sposób na krytykę.

- Co wydaje mi się daleko bardziej pożądane niż być nikim i w ogóle nie wywierać żadnego wrażenia.

- Jestem przekonany, że to byłoby absolutnie niemożliwe.

Powiedział to z kurtuazją lecz gdy dostrzegł uśmiech w jej oczach, zdał sobie sprawę, że umyślnie stara się go sprowokować. Jej następne słowa potwierdziły to wrażenie.

- Od tak dawna mieszka pan na pustyni, panie Strome, że chyba jest pan w ogóle poza zasięgiem cywilizacji. Zapewniam pana, że jutro zabawne będzie zdemaskowanie pańskiej ignorancji i wykrycie rys w tak słynnym bohaterze!

Każde słowo, wypowiedane powoli, było niczym pchnięcie sztyletem.

Skierowała się w stronę schodów, a gdy przechodziła obok, poczuł zapach tuberozy. Używanie takich perfum - pomyślał z pogardą - jest nadzwyczaj nieodpowiednie dla młodej dziewczyny.

- Dobranoc, panie Strome - pożegnała go trzymając dłoń na poręczy. - Z niecierpliwością będę wyczekiwać ponownego spotkania z panem. Proszę wybaczyć, ale muszę powiedzieć, że mnie pan rozczarował - cedziła słowa, a jej zielone oczy patrzyły wyzywająco.

Powoli wchodziła na schody z gracją królowej, świadoma, że Tyrone przygląda się jej.

Gdy usłyszał, że zamknęła drzwi do sypialni roześmiał się.

Nie było wątpliwości, że panna van Arden, nieprzyjemna, nieprzystępna, szorstka i będąca przykładem wszystkiego, czego nie znosił w nowoczesnych dziewczętach, wyglądem, mówiąc oględnie, bardzo różniła się od wizerunku, jaki stworzył sobie w wyobraźni.

- Nic dziwnego - powiedział do siebie - że ta egzotyczna zmija zahipnotyzowała biednego Davida. Może raczej, mając na uwadze te rude włosy, bardziej pasowałoby do niej określenie lisica.

Wracając do swego domku, Tyrone rozmyślał o tym, w jak okrutny i nieprzyjemny sposób traktowała Davida, o jego nieszczęściu i rozpacz.



Doskonale zdawał sobie sprawę, że gdyby nie przyjechał tego dnia i gdyby nie podsłuchał rozmowy z balkonu, doprowadziłaby Davida do czynu, który złamałby serce jego matki.

To, że zapobiegł tragedii, było czystym przypadkiem. Dochodząc do swojego pokoju, Tyrone Strome powiedział do siebie głośno:

- A niech ją, tę małą diabolicę! Potrzebuje dobrej nauczki. W Bogu nadzieja, że pewnego dnia dostanie za swoje!

## Rozdział 2

Tyrone Strome jadł śniadanie na tarasie swego domku.

Wstał jak zawsze o wschodzie słońca, by cieszyć się chłodem poranka.

Kochał żywe barwy śródziemnomorskie. Często myślał, że nie ma piękniejszego widoku niż ten rozpościerający się z jego domku. Uroku dodawał mu jeszcze szmer fontanny w ogrodzie i egzotyczne kwiaty oplatające balustradę. Wprawdzie wieczorem myślał o problemach siostry z Davidem, ale spał głęboko, czuł się więc rześko i był w doskonałym humorze.

Wiedział, że w dużej mierze spowodowane to było faktem, że nie przytłaczała go już powaga misji i nie groziło mu już żadne niebezpieczeństwo.

Przeżycia ostatnich lat sprawiły, że czuł się starszy, niżby to wynikało z jego wieku. Teraz jednak był jak sztubak na początku wakacji, przekonany, że będzie rozkoszować się każdą ich chwilą.

Nakładając na talerz rybę, złowioną poprzedniego dnia, uświadomił sobie, że po wyjeździe Davida do Afryki będzie miał dużo czasu na rozmowy z siostrą. Nie widzieli się już ponad rok.

Nie schlebiał jej mówiąc, że dla niego jest najinteligentniejszą i najatrakcyjniejszą spośród wszystkich znanych mu kobiet.

Uwielbiał Helen, ponieważ była bardzo kobieca i miała niesłychanie życzliwy stosunek do świata.

Tyrone prowadził surowy, twardy tryb życia. Często musiał być bezwzględny, a nawet okrutny.

Dlatego właśnie od kobiet oczekiwał czegoś odmiennego: delikatności i uległości.

Nevada van Arden natomiast była uosobieniem wszystkiego, czego nie znosił w nowoczesnych dziewczętach.

Nagle, zupełnie jakby jego myśli miały czarodziejską moc, usłyszał za sobą czyjeś kroki. Odwróciwszy się, zobaczył Davida i Nevadę idących w jego kierunku po starannie utrzymanym zielonym trawniku.

Sylwetka Nevady rysowała się pięknie na tle ciemnych cyprysów. Wyglądała tak jak poprzedniej nocy, zwiewnie i nieziemsko.

Nie miała na głowie kapelusza. Słońce połyskiwało jej we włosach, tak że lśniły jak języki ognia.

Na tle delikatnej mlecznobiałej cery, oczy jej wydawały się nieprawdopodobnie zielone.

Powoli, zirytowany, że przeszkadzają mu podczas śniadania, Tyrone Strome wstał.

- Dzień dobry wujku Tyronie - przywitał się David. W jego głosie bez trudu można było wyczuć zdenerwowanie.

- Dzień dobry, Davidzie, dzień dobry panno van Arden. - Czy nie będziecie mieć mi za złe, jeśli będę kontynuował śniadanie? Przyszliście zaskakująco wcześnie.

- Przyszliśmy zobaczyć się z tobą ponieważ, jak powiedział Ronaldson, wybierasz się do Nicei - rzekł David.

- W istocie. Przecież mówiłem ci wczoraj wieczorem, że na pokładzie jachtu mam trochę broni oraz inny sprzęt, który może ci się przydać w Afryce.

- Nie chciałbym, żebyś jeździł niepotrzebnie.

Mówił to z wahaniem. Wtedy, z triumfem w głosie, wtrąciła Nevada:

- David usiłuje panu powiedzieć, panie Strome, że nigdzie nie wyjeżdża.

Mówiąc to wpatrywała się w niego. Wiedział, że umyślnie go prowokuje.

Uniósł brwi w milczeniu, podczas gdy David niezręcznie wyjaśniał:

- W nocy posłałem Nevadzie wiadomość, że zamierzam wyjechać do Afryki, lecz rankiem przekonała mnie, iż powinienem zostać i opiekować się nią. Tak jej obiecałem.

- Musisz zatem dotrzymać obietnicy.

Jeżeli spodziewali się, że zaprotestuje albo okaże gniew lub irytację, z całą pewnością będą zawiedzeni, bo nie zamierzał im tego okazać.

- Widzisz, Davidzie, mówiłam ci, że denerwujesz się bez powodu! - zauważyła Nevada.

Mówiąc to sięgnęła do stojącej na stole srebrnej tacy, wzięła kromkę chleba, posmarowała ją masłem i położyła na nią łyżeczkę miodu.

Wbiła w nią perłowobiałe zęby.

- Wspaniale! - zachwyciła się. - Doprawdy nie pojmuję, dlaczego nie kazałam sobie podawać miodu. Zapomniałam chyba, jaki jest dobry w tych okolicach.

David patrzył na wuja.

- Nie chcę, byś sadził, że jestem niewdzięczny, wujku Tyronie, za to, co mi wczoraj zaproponowałeś. Ronaldson powiedział, że już wysłałeś telegram do swoich przyjaciół. Przepraszam cię za to, ale oczywiście zostanę z Nevadą.

- Oczywiście, że cię potrzebuję - podchwyciła Nevada. - Potrzebny jest mi przecież przystojny mężczyzna do towarzystwa; by ze mną tańczył i zabierał mnie do tych fascynujących miejsc, których pełno tu w okolicy.

- Wczoraj mówiłaś, że cię to nudzi - zauważył David.

- To było wczoraj - odparła Nevada machnąwszy ręką. - Dzisiaj zmieniłam zdanie. Musimy zrobić plan, Davidzie, i zwiedzić wszystkie ciekawe miejsca w sąsiedztwie.

- Wyruszymy powozem mamy? - zapytał David. - Czy może będziesz nalegać, by jechać tym hałaśliwym, cuchnącym samochodem Charliego?

- Oczywiście, że samochodem - odparła Nevada. - Nawiasem mówiąc, nie jest wcale cuchnący, a poza tym porusza się bardzo szybko.

- O wiele za szybko! - rzekł David markotnie. - Dobrze wiesz, jak niebezpiecznie jest jeździć z dużą prędkością po tych drogach.

- Lubię niebezpieczne życie - odparła Nevada. - Czy podziela pan moje upodobania, panie Strome?

Mówiąc to patrzyła wprost na Tyrone'a. Umyślnie otworzyła szeroko swoje zielone oczy patrząc niewinnie i z pochlebnyim zainteresowaniem.

Spojrzał na nią z błyskiem zdumienia w oczach.

- Zastanawiam się, panno van Arden, czy w ogóle ma pani pojęcie o tym, co to jest niebezpieczeństwo?

- Nie wiedziałam, dopóki nie znalazłam się sam na sam, na oświetlonym światłem księżyca pokładzie z pewnym atrakcyjnym mężczyzną - odparła.

- Kiedy to było? - zapytał z zazdrością David. - Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Mój drogi Davidzie, nie możesz oczekiwać ode mnie, bym spowiadała ci się z każdej chwili mojego życia. Poza tym, wiesz dobrze, że nie lubię zazdrosnych mężczyzn.

- Jak możesz oczekiwać, bym nie był zazdrosny po tym wszystkim, co usłyszałem?

- Uważam, że zazdrość, podobnie jak miłość, to uczucie, bez którego można się obejść - odparła bez troski Nevada. - Tego rodzaju uczucia przeszkadzają w dobrej zabawie, a ja zamierzam dobrze się bawić.

David patrzył na nią bezgranicznie przygnębiony.

Nic dziwnego, powiedział sobie w duchu Tyrone Strome, że chłopak jest nią zauroczony. Nevada jest niewątpliwie jednym z najśliczniejszych stworzeń, jakie kiedykolwiek spotkał. Jaka szkoda, że była również jedną z najbardziej

niesympatycznych przedstawicielek swojej płci i sprowadzała nieszczęście na każdego, kto się tylko na nią natknął.

Doskonale wiedział, że próbowała zademonstrować swoją władzę nad Davidem i zadrwić z autorytetu Tyrone'a, i to w sposób, który aż za dobrze dawał do zrozumienia, że nic jej nie powstrzyma przed tym, by postawić na swoim.

- Czy mam rację, panie Strome, sądząc - oświadczyła, gdy skończyła jeść kromkę z miodem - że włączanie pana w nasze dzisiejsze plany mija się z celem?

- Czy mam to rozumieć jako zaproszenie? - zapytał. Powiedział to w sposób, który ją zaskoczył. Rzuciła mu szybkie spojrzenie. Dzięki dużemu doświadczeniu z kobietami wiedział, że od samego początku uznała go za łatwą zdobycz.

- Czemu nie? - zapytała. - Wie pan, że chętnie bym posłuchała o pana bohaterskich wyczynach... jeżeli jest pan gotów mi o nich opowiedzieć.

Przeszła prawie samą siebie udając gorliwość młodej dziewczyny spotykającej znakomitą osobistość - pomyślał cynicznie Tyrone i rzekł:

- Po tym, co pani powiedziała, jak bardzo pragnie być zadziwioną obawiam się, że moje przygody wydadzą się nudne.

- Jestem przekonana, panie Strome, że nic, czego pan dokonał, nie może się okazać nudne.

- Przygody jednakże nieoczekiwanie mogą mieć nudne chwile, szczególnie, jeżeli ktoś przeżywa je w samotności - nie ustępował.

- Musimy więc nadrobić te chwile, gdy czuł się pan taki samotny - rzekła niespodziewanie łagodnie Nevada.

- Jestem bardzo zobowiązany - odpowiedział z uśmiechem Tyrone - lecz nie mogę narzucać się ani pani, ani Davidowi. Jestem przekonany, że macie swoje sprawy i że moje towarzystwo okaże się zbędne.

- Nie, nie, ależ nie! - zapewniła pośpiesznie. - Będziemy radzi z pana towarzystwa, prawda Davidzie?

- Jeśli tak uważasz - odparł David bez entuzjazmu. Tyrone'a rozbawił fakt, że ta młoda, niedoświadczona kobieta chyba naprawdę sądzi, że go uwiodła.

Flirtował z najbardziej powabnymi i wyrafinowanymi pięknościami tego świata, i nigdy, ani przez sekundę, nie dał się zwieść tej sztuczce z szeroko otwartymi oczami, którą Nevada właśnie próbowała zastosować.

Doskonale zdawał sobie też sprawę, że siostrzeniec spoglądał na niego nieufnie, zazdrosny o zainteresowanie, jakim go obdarzyła.

- Chyba lepiej będzie, jeśli dowiem się, co zamierza dziś robić twoja matka, Davidzie - zdecydował Tyrone. - Wspominała, że chciałaby obejrzyć mój jacht.

- Och, ja również bardzo bym chciała obejrzyć pański jacht. - Czy może mi go pan pokazać? Uwielbiam jachty.

- Ależ oczywiście - zgodził się. - Orowadzenie pani po „Moulay” sprawi mi ogromną przyjemność.

- Czy właśnie tak nazwał pan swój jacht?

- Tak, być może pani wie, że „Moulay” znaczy po arabsku król. Sądzę bowiem, że mój jacht jest królem wśród innych statków.

- Muszę go więc niezwłocznie obejrzyć! Proszę przekonać lady Merrill, aby zechciała zabrać nas ze sobą.

- Czyżbyś zapomniała, że prosiłaś mnie, bym wysłał wiadomość do Charliego, że przed lunchem przyjadę do niego na tenisa? - zapytał David posepnie. - Zdaje się, że stajenny pojechał już z tą wiadomością.

- Ach tak, rzeczywiście - przyznała Nevada. - Możemy jednak wysłać następną, że tak w ogóle to jednak jesteś zbyt zajęty.

Tyrone domyślił się, że poczyniła te kroki, by odwieść Davida od wyjazdu do Afryki.

- Może stajenny jeszcze nie odjechał - powiedziała szybko. - Idź, zobacz, może go jeszcze zdążysz zatrzymać.

- Dobrze - zgodził się David - lecz Charlie będzie niepokieszony.

- Pocieszę go później - wyjaśniła Nevada beztrasko. David, który przez cały czas siedział na poręczy krzesła stojącego przy stoliku śniadaniowym, podniósł się i odszedł w kierunku willi.

Nevada poczekała, dopóki nie zniknął jej z oczu, po czym rzekła:

- Być może popełniłam błąd powstrzymując Davida przed tym, by postąpił zgodnie z pańską radą. Może bez niego byłoby zabawniej.

W jej głosie wyczuł wyraźną aluzję i miał ochotę ją zbesztać, lecz zamiast tego powiedział łagodnie:

- Sądziłem, że wyprawa na grubą zwierzynę bardzo go zainteresuje.

- I, oczywiście, że będzie mógł o mnie zapomnieć! Tak się zawsze robi, gdy jakiś młodzieniec zakocha się w kimś nieodpowiednim.

- Czy powiedziałem, że pani jest nieodpowiednia?

- Dał pan to wyraźnie do zrozumienia ostatniej nocy.

- Być może oceniłem panią zbyt pochopnie, opierając się tylko na pogłoskach.

- A teraz zmienił pan zdanie?

- Czy nadal rozmawiamy o Davidzie?

To był pojedynek na słowa, w którym każde zdanie miało ukryte znaczenie, a każde słowo było cięte jak ostrze rapiera.

- Chyba trochę się pana boję - oświadczyła Nevada. Mówiąc to cedziła słowa i umyślnie spuściła wzrok, co mniej



doświadczeni mężczyźni uznaliby za urok młodości oraz nieśmiałość.

- Jestem przekonany, że tak nie jest - zaprzeczył Tyrone. - Mam wrażenie, panno van Arden, że musimy się jeszcze wiele o sobie dowiedzieć.

- Chciałabym, by zwracał się pan do mnie: Nevado. Panna van Arden brzmi tak oficjalnie.

- Jest pani bardzo łaskawa.

Tylko ci, którzy bardzo dobrze znali Tyrone'a, domyśliliby się, że słowa te wyrażały sarkazm. Dostrzegliby też w jego oczach szelmowski błysk, co świadczyło, że bawi się wybornie.

Ani przez chwilę nie zapomniał, że ostatniej nocy powstrzymał Davida przed czynem, który okryłby całunem całą willę i pogrążył wszystkich jej mieszkańców w najgłębszej rozpacz.

Był zdecydowany walczyć z tą diabolicą jej własną bronią. Wiedział, że przyszła do ogrodu, aby zatriumfować nad nim. Nienawidziła go za to, że poprzedniej nocy ośmielił się ją skrytykować i teraz chciała się zemścić czyniąc z niego swojego niewolnika.

Można było zrozumieć, że przywykła przebywać z mężczyznami padającymi przed nią na kolana, zakochanymi od pierwszego wejrzenia i podobnie jak David tak zaślepionymi, że tracili jakiegokolwiek poczucie zdrowego rozsądku.

Bez wątpienia była piękna. Było to jednak piękno tak szkodliwe i zgubne jak uroda Meduzy, której włosy przeplecione węzami ostrzegały mężczyzn o jej niegodziwości.

Jednakże włosy Nevady miały niepowtarzalny urok. Żaden mężczyzna nie był w stanie oprzeć się jej, gdy

spoglądała spod czarnych rzęs zielonymi oczami, które zdawały się kryć w sobie wszystkie tajemnice Wschodu.

- Żałuję, że tamtego wieczora nie rozmawialiśmy dłużej - rzekła Nevada słodkim głosem - lecz, rzecz jasna, przed nami jeszcze wiele wieczorów. Gdy świeci księżyc, jest to chyba jedno z najbardziej romantycznych miejsc, jakie kiedykolwiek widziałam.

- Ja również tak uważam - zgodził się Tyrone.

- Więc może przyjrzymy się temu razem - zaproponowała łagodnie.

- Czemu nie? - zapytał. - Myślę, że nie powinniśmy też marnotrawić tych godzin, gdy świeci słońce.

- Naturalnie, że nie - przytaknęła. - Przecież chciałabym obejrzeć pański jacht.

Popatrzyła na niego chwilę, po czym rzekła:

- Nakłonię Davida, by jednak zagrał w tenisa. Będzie nas tylko zanudzał, gdy tymczasem jest tyle rzeczy, o których mógłby mi pan opowiedzieć i które mógłby mi pan wyjaśnić.

- Wspaniały pomysł! - podchwycił Tyrone. - Uzgodnij więc wszystko z Davidem, a ja porozmawiam z siostrą.

Mówiąc to wstał od stolika, przy którym spożywał śniadanie. Nevada podniosła się również.

Każdy ruch wykonywała ze swoistym wdziękiem. W białej sukni, z oślepiająco rudymi włosami, wyglądała niezwykle. Trudno było wprost uwierzyć, że mogła być tak niebezpieczna, jak się o tym przekonał poprzedniego wieczoru.

Uśmiechnął się uwodzicielsko. Umiał to robić chyba od kołyski.

- Będę czekać na panią na „Moulay”.

- To będzie niezwykle ekscytujące! - odparła Nevada rzucając spod rzęs spojrzenie, które, był o tym święcie przekonany, wyćwiczyła przed lustrem.

Wolno poszli ramię w ramię w kierunku willi. Prawie już dochodzili do długich, białych stopni prowadzących do wnętrza, gdy podbiegł David.

- Niestety, Nevado - oznajmił. - Stajenny już wyruszył z listem, lecz gdy tylko wróci, mogę go wysłać z kolejną wiadomością.

- Myślę, że to będzie zbyt nieuprzejme... - zaczęła Nevada.

Tyrone dłużej już nie słuchał. Zostawił Davida i Nevadę i poszedł do pokoju siostry.

Wiedział, że Helen nie wstaje wcześnie, i rzeczywiście zastał ją jeszcze w łóżku. Siedziała w niebieskim szyfonowym szlafrocжку. Oparta o stos poduszek obszytych koronkami wyglądała młodo i bardzo powabnie.

- Dzień dobry, mój drogi Tyronie - przywitała go. - Miałam nadzieję, że przyjdiesz porozmawiać ze mną.

Schylił się, by pocałować ją w policzek, potem usiadł na skraju łóżka i ujął jej dłoń.

- Dobrze spałeś? - zapytała. - Wyglądasz wspaniale. - Nie mogę doczekać się chwili, gdy przedstawię cię moim przyjacielom. Niech zobaczą, jakiego mam czarującego i przystojnego brata.

- Niestety, mam niedobre wieści. Zauważył, jak siostra znieruchomiała, i dodał:

- Ta dziewczyna, Nevada, namówiła Davida, by nie wyjeżdżał do Afryki.

- Och, nie! - krzyknęła lady Merrill. - Przemyślałam to dokładnie zeszłej nocy, Tyronie. Doszłam do wniosku, że Davidowi ten wyjazd dobrze by zrobił. Od chwili, gdy ona przyjechała, jest bardzo nieszczęśliwy.

- Rozumiem to doskonale.

- W jednej chwili dodaje mu śmiałości, by w następnej dać ostrą, druzgoczącą odprawę. Jestem pełna niepokoju, do czego to wszystko doprowadzi.

- Jak sadzisz, dlaczego ona się tak zachowuje?

- Przypuszczam, że chce zademonstrować swoją przewagę. Zachowuje się tak samo w stosunku do każdego mężczyzny, z którym się spotka. Robi wszystko, by czołgali się u jej stóp. Lord Dundonald jest prawie tak samo zrozpaczony z powodu Charliego jak ja z powodu Davida.

- Na jak długo ją zaprosiłaś?

- Jeszcze trzy tygodnie! - rzekła lady Merrill. - Bóg jeden wie, jak wiele może wyrządzić jeszcze szkody przez ten czas!

To był krzyk rozpacz, który Tyrone doskonale rozumiał, pamiętając, co mogło się wydarzyć poprzedniej nocy.

- Chyba nie podróżowała sama z Ameryki? - zapytał.

- Nie, oczywiście, że nie! Jej ojciec wysłał z nią starszą kobietę do towarzystwa, która choć jest bardzo sympatyczna, zupełnie nie radzi sobie z osobką taką jak Nevada.

- Co się z nią stało? - dopytywał Tyrone.

- Po przyjeździe do Londynu zachorowała. Zapraszając Nevadę, nie miałam pojęcia, jaka ona jest. Naturalnie zaprosiłam również jej towarzyszkę podróży.

- Opiekunka nie przyjechała?

- Nie. Nevada napisała list, wyjaśniając w nim, że przyjedzie sama, a w podróży będzie opiekował się nią kurier.

Lady Merrill uczyniła nieznaczny gest ręką.

- Jak ci mówiłam, jest bardzo zaradna i potrafi zadbać o siebie. Zdaje się, że ostatnio dość dużo podróżowała.

- Przyjechała więc sama?

- Tak, zostawiła garderobianą, aby się opiekowała panią Langholme, czy jak tam ona się nazywa, i poprosiła, bym na czas pobytu znalazła dla niej jakąś Francuzkę.

- Więc pozostanie jeszcze trzy tygodnie - rzekł Tyrone po chwili namysłu.

Siostra spojrzała z niepokojem.

- Właściwie zaprosiłam ją na trzy tygodnie lub jak długo zechce pozostać. Nie przypuszczałam, że córka mojej przyjaciółki okaże się taka... - Lady Merrill westchnęła. - Trudno nie zgodzić się, że jest piękna, lecz sposób, w jaki wykorzystuje swą urodę, jest tak destrukcyjny! Och, Tyrone, spróbuj namówić Davida, by wyjechał.

- Nevada powiedziała mi, że chce, aby był tutaj dla jej towarzystwa i rozrywki.

Lady Merrill zakryła oczy dłońmi.

- Nie mogę nawet sobie wyobrazić, co zostanie z Davida pod koniec jej wizyty. Rozchoruje się przez tę dziewczynę. Ronaldson mówił, że David nie sypia po nocach tylko chodzi po pokoju i pali. Nigdy przedtem tego nie robił. Poza tym prawie nic nie je.

Tyrone nie odzywał się. Lady Merrill wyciągnęła rękę w jego stronę.

- Porozmawiaj z nim, Tyrone, może ciebie posłucha. Czuję się tak bezradna, jak wtedy, gdy pragnęłam całym sercem, żeby George nie umarł.

- Ciekaw jestem, czy David posłuchałby swego ojca - zastanawiał się Tyrone - i w ogóle kogokolwiek.

- Więc co mamy robić?

Spojrzenie lady Merrill wyrażało lęk, co sprawiło, że brat jeszcze bardziej pragnął jej pomóc.

Ponieważ siostra była od niego znacznie starsza, wiedział, że zawsze może na niej polegać. Tymczasem to właśnie ona zwracała się do niego o pomoc i to w taki sposób, że nie miał prawa odmówić.

Wstał z łóżka, podszedł do okna i choć patrzył na krajobraz, nie widział nic.

Myślał, rozważał, kalkulował, w skupieniu opracowywał plan. Ci, którzy mieli z nim kiedykolwiek do czynienia, wiedzieli, że w takich chwilach stawał się jednym z najgroźniejszych przeciwników dla wrogów Wielkiej Brytanii.

Dla Tyrone'a było to kolejne wyzwanie. W sytuacjach wyjątkowych, takich jak ta, zwykł sięgać w głąb siebie, by zaprząć do pracy całą siłę woli i podświadomość.

Nie potrafił dokładnie określić, co się z nim działo w takich chwilach, gdy zdawało się, że problem jest nie do rozwiązania, lub gdy znajdował się w sytuacji bez wyjścia. Nagle coś w nim krzyczało o pomoc i pomoc nadchodziła w sposób, który niektórzy uznaliby za nadprzyrodzony.

Miał przed oczami każdy szczegół planu, jakby to była operacja wojskowa; wiedział już dokładnie, jakie działania musi podjąć.

Odwrócił głowę, zobaczył siostrę, która patrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Uśmiechnął się do niej. Pojęła natychmiast, nie pierwszy zresztą raz, że znalazł rozwiązanie.

- Chcę zamówić powóz na jedenastą trzydzieści - rzekł - aby zabrać ciebie i Nevadę do Cannes.

Lady Merrill spojrzała na niego zaskoczona. Po chwili Tyrone zaczął dokładnie wyjaśniać, co zamierza zrobić.

Jadąc do Cannes w otwartym powozie zaprzężonym w doskonale dobraną parę koni, lady Merrill i Nevada rozprawiały o tańcach, na które zamierzały wybrać się wieczorem.

- Zjemy obiad w willi - powiedziała lady Merrill - a potem udamy się do lady Byng. Obiecałam jej, że zabiorę ze sobą kilkoro przyjaciół. Jeżeli wszyscy goście postąpią podobnie, będzie to naprawdę zachwycający wieczór.

- Z pewnością - odparła Nevada. - Czy pani brat, pan Strome, dobrze tańczy?

- Myślę, że Tyrone tańczy znakomicie. Zresztą wszystko, co wymaga zręczności, robi doskonale. Po mistrzowsku jeździ na nartach, znakomicie gra w polo, a jako chłopiec doskonale grał w krykieta.

- Tyle talentów w jednej osobie! - zauważyła Nevada.

Lady Merrill nie była pewna, czy to był komplement czy raczej drwina.

- Zawsze byłam bardzo dumna z Tyrone'a - rzekła. - Jest mężczyzną i atrakcyjnym, i zamożnym, więc wiele kobiet zabiega o jego względy.

- Dlaczego dotąd się nie ożenił?

- To jest pytanie, które często sama mu zadaję - odparła lady Merrill. - Tyrone jest bardzo wymagający i choć zna mnóstwo pięknych kobiet, i każda z nich byłaby bardzo szczęśliwa będąc jego żoną, nigdy jeszcze nie uczynił najmniejszego wysiłku, by założyć obrączkę na palec którejś z nich.

- Może czeka, aż się zakocha.

Nie ulegało wątpliwości, że ta uwaga była wyraźną kpina.

- Czyż nie wszyscy tego pragniemy?

- Coś podobnego nigdy mi się nie przytrafi - rzekła Nevada. - Moim zdaniem miłość to obrzydliwa słabość, napawająca mnie tylko wstrętem.

- Moje drogie dziecko, chyba nie myślisz tak naprawdę!

- Owszem, tak właśnie myślę - odparła Nevada wyzywająco. - Gdy wreszcie zostanę starą panną, resztę swego życia poświęcę dobroczynności.

- Zapewne żartujesz sobie tylko.

- Nie, nie żartuję - odparła Nevada. - Nie wyobrażam sobie siebie w takim stanie, do jakiego mężczyźni się doprowadzają, gdy wyznają mi miłość. Drżą, przewracają oczami i starają się objąć mnie rozgorączkowanymi rękami. Niedobrze mi się robi na samą myśl!

- Twoja matka nigdy tak nie mówiła! Pragnęła zakochać się, wyjść za mąż i mieć mnóstwo dzieci. Jestem pewna, że tragedią było dla niej to, że miała tylko jedno dziecko.

- Może odechciało się jej, po tym, jak ja się urodziłam.

- Z pewnością nie może to być prawda - zaprzeczyła lady Merrill. - Nigdy nie miałam sposobności rozmawiać o tym z twoim ojcem, lecz jestem absolutnie przekonana, że gdyby twoja matka mogła dać ci brata lub siostrę, zrobiłaby to bez względu na wszystko.

- Przypuszczam, że mój ojciec wolałby mieć syna - powiedziała Nevada twardo - i nie był zbyt zainteresowany córką.

- Jestem pewna, że to nie jest prawda - łagodnie zaprzeczyła lady Merrill. - Pozwól Nevada, że udzielę ci pewnej rady: jeżeli chcesz być kochaną, musisz ofiarować miłość.

- Ale ja nie chcę! - rzekła ostro Nevada. - To ostatnia rzecz, jakiej pragnę! Jestem bardzo zadowolona z tego, jaka jestem, choć nikt chyba w to nie wierzy. Bawię się doskonale, a jeżeli z mojego powodu mężczyźni lubią robić z siebie głupców, dlaczego miałabym się nimi przejmować? Myślę, że są w stanie zadbać o siebie.

- Czy rzeczywiście? - zapytała lady Merrill. - Każda matka zadaje sobie tak naprawdę inne pytanie. Mianowicie, czy młody mężczyzna, który jest rozpaczliwie, do szaleństwa zakochany w kimś takim jak ty, rozumie, że dla ciebie jest tylko jeszcze jednym partnerem do tańca?

- Już pani powiedziałam, lady Merrill, mężczyźni sami muszą dbać o siebie. Są na to wystarczająco dorośli i silni.

Nevada powiedziała to z pogardą, a lady Merrill odparła:

- Czasem wydaje mi się, że cały kłopot polega na tym, że mężczyźni nigdy tak naprawdę nie dorodnieją. W głębi duszy są tylko małymi chłopcami, szczególnie wobec swoich matek.



Chcą by się nimi opiekować, kochać ich, dodawać im otuchy i inspirować.

Nevada roześmiała się.

- Mogę inspirować każdego, kogo tylko zechcę - rzekła chełpliwie - ale nie mam zamiaru opiekować się żadnym mężczyzną ani też dopuścić do tego, by któryś mną się opiekował. Oni są głupcami, wszyscy bez wyjątku. Są interesujący, dopóki się nie zakochają i ani chwili dłużej.

Lady Merrill zamilkła.

Konie ciągnęły powóz szeroką aleją obramowaną po obu stronach sosnami, wiodącą do portu położonego w odległym końcu miasta.

Port był niewielki, wypełniony jachtami różnej wielkości. Nevada wpatrywała się z przejęciem w „Moulay”, jacht Tyrone'a.

Spodziewała się, że jacht będzie różnił się od innych, i nie myliła się.

Nie był biały jak jachty należące do bogatych Francuzów, Anglików czy też Włochów. Kadłub „Moulay” był czarny, podkreślony złotą kreską. Nad linią wody miał namalowany czarny pas, przez co wydawał się dłuższy, smuklejszy i bardziej imponujący niż przycumowane obok jachty.

Gdy powóz zbliżał się do pomostu, lady Merrill oświadczyła:

- Nie ma jeszcze dwunastej. Chciałabym, Nevado, wpaść do hotelu „Charlton” odwiedzić mojego przyjaciela, księcia Westbournu, który ostatnio niedomaga. Nie zabawię długo. Czy możesz przekazać mojemu bratu, że dołączę do was przed lunchem?

- Oczywiście, lady Merrill - zgodziła się Nevada. Woźnica zszedł z kozła, by otworzyć drzwi. Gdy Nevada stanęła na pomoście, zauważyła, że Tyrone czekał już na pokładzie.

Powóz odjechał. Nevada wyciągnęła rękę, a gdy Tyrone chwycił ją pomagając wejść na pokład, poinformowała:

- Pańska siostra prosiła, by przekazać, że musiała odwiedzić chorego księcia Westbournu i dołączy do nas przed lunchem.

- To bardzo taktownie z jej strony! - odparł Tyrone niskim głosem. - To znaczy, że podczas spaceru po jachcie będę miał przyjemność być z panią sam na sam.

- To naprawdę wspaniale - uśmiechnęła się Nevada.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że wyglądała niezwykle powabnie w sukni z białego muślinu przystrojonej turkusowoniebieskimi wstążkami i zdobionej haftem angielskim.

Kapelusz z szerokim rondem przybrany był takimi samymi wstążkami oraz bukietkami niezapominajek. Mogłoby się wydawać, że była kwintesencją dziewczęcości, dopóki nie zajrzało się w głębiej jej płomiennych oczu lub nie dostrzegło powabu mocno zarysowanych ust.

Weszła do salonu. Jego wystrój był inny niż się spodziewała, odmienny od tego, co widywała na luksusowych jachtach.

Wszystko, co się tam znajdowało, było bardzo surowe, męskie i praktyczne. Nie było zbędnej dekoracji, miękkich poduszek ani obrazów na ścianach.

- Poczęstuję panią najpierw kawą - rzekł Tyrone, który wszedł zaraz za nią. - Czy lubi pani kawę po turecku? Osobiście wolę kawę po turecku niż po francusku. Przywykłem bowiem do niej przebywając tak długo na Wschodzie.

- Ja również lubię kawę po turecku - odparła Nevada.

Zjawił się steward. Tyrone odezwał się do niego w dziwnym obcym języku, którego nie rozpoznała. Gdy przyjrzała się mężczyźnie, domyśliła się, że jest Chińczykiem.

Kiedy zostali sami, zapytała:

- Dlaczego nie zatrudni pan stewarda Anglika?
- Cała moja załoga składa się z Chińczyków i Malajczyków - odparł. - Są wspaniałymi żeglarzami i potrafią przystosować się do każdego warunków.

Uśmiechnął się i ciągnął dalej:

- Zwykle cumujemy w miejscach, którym daleko do luksusowych portów południowej Francji!
- Skąd teraz przybył pański jacht?
- Był w wielu różnych częściach świata.
- Sądząc po odpowiedzi nie zamierza mi pan zdradzić żadnych szczegółów - stwierdziła Nevada.
- Dlaczegoż miałoby to panią interesować? Roześmiała się.

- Traktuje mnie pan, jakbym była szpiegiem z jakiegoś obcego kraju. Może myśli pan, że jestem na usługach Rosjan?

- Sądzę, że sam pani widok jest zbyt niebezpieczny dla każdego, kto zetknie się z panią, a nie został uprzedzony o niebezpieczeństwie ani nie uzbroił się przezornie - odparł Tyrone.

- Czy prawi mi pan komplementy?
- Jeśli tak chce pani to rozumieć...

Znowu pojedynkowali się na słowa, wiedział, że ją to bawiło.

- Sądzę, że niepotrzebnie stwarza pan wokół siebie aurę tajemniczości, panie Strome - rzekła. - Reputacja płaszcza i szpady, którą pan zdobył, wydaje mi się bardzo podejrzana.

- Podejrzana? - zapytał.

- To oczywiście sprawia, że wydaje się pan być bardzo intrygującym człowiekiem. Czy dlatego właśnie z rozmysłem przybiera pan sfinksową pozę?

- Nieczęsto mam czas, by myśleć o sobie - odparł Tyrone.  
- Teraz jednak pani sprawiła, że cechy charakteru, które raczyła pani opisać, wydają mi się zaletami.

- Nie powstrzyma to mnie, by zmusić pana do opowiedzenia o sobie.

- Byłbym bardzo zadowolony sądząc, że interesuje się pani moją osobą, podczas gdy tyłu mężczyźni zabiega o pani uwagę.

- Czyż nie wie pan, że dla przybysza jest zawsze wolne miejsce? - zapytała Nevada.

Nie musiał odpowiadać do salonu, bowiem wszedł właśnie steward niosąc tacę, na której, na misternie zdobionych złotych i turkusami spodeczkach, stały filiżanki z chińskiej porcelany.

- Jakie piękne! - krzyknęła Nevada,

- Przywiozłem je ze Wschodu - wyjaśnił Tyrone. Steward nalał do filiżanek gęstą, słodką kawę, a Nevada niecierpliwie wstała, by przyjrzeć się turkusom i ich misternej oprawie.

- Naprawdę są prześliczne! - krzyknęła.

- Gdybyśmy byli na Wschodzie i miałbym się odpowiednio znaleźć, musiałbym w takiej chwili powiedzieć: „Należą do pani!” - rzekł Tyrone. - Ale ponieważ jestem samolubny, zachowam je dla siebie.

- Ależ pan skąpy - nadąsała się.

- Gdybym je pani podarował, co by pani z nimi zrobiła?

- Piłabym z nich kawę, rzecz jasna - rzekła Nevada. - Ta jest wyśmienita.

- Sam nauczyłem kuchmistrza, jak się przyrządza dobrą kawę po turecku. Ma być czarna jak diabeł, gorąca jak piekło i słodka jak miłość!

- Czy pan naprawdę wierzy, że miłość jest słodka? - zapytała Nevada.

- To zależy od tego, kogo się pokocha.

- Myli się pan tak samo jak pańska siostra! Sądzi ona, podobnie jak pan, że miłość to wspaniałe uczucie. Ja natomiast uczuciem takim pogardzam i czuję do niego odrazę.

- Nadzwyczaj rzadko się zdarza, by ktoś tak młody jak pani miał tak zdecydowane poglądy.

- Przez moment chciał pan zdaje się powiedzieć, że jestem zbyt młoda, by znać samą siebie - wybuchnęła Nevada.

- Mam nadzieję, że nie wyraziłem nic tak banalnego ani tak, rzecz jasna, nieprawdziwego.

- Więc zgadza się pan, że znam samą siebie?

- Jestem absolutnie o tym przekonany - odparł Tyrone. - Jest pani bardzo zdecydowaną, stanowczą osobą. Tylko chwiejni i niezdecydowani ludzie obawiają się swoich poglądów.

- Jest pan dla mnie tak miły, panie Strome, że zastanawiam się, czy nie ma w tym jakiegoś ukrytego celu - zauważyła Nevada.

- Nie pojmuję, dlaczego pani tak myśli.

Mówiąc to ponownie napełnił kawą filiżankę Nevady.

Spostrzegła, że nawet nie tknął swojej kawy. Pomyślała więc, że może, wbrew temu co mówił, nie lubi słodkich rzeczy.

Bardzo chciała skłonić go do mówienia i dowiedzieć się, co o niej myśli. Zapytała więc prowokacyjnie.

- Ile razy był pan zakochany?

- Jeżeli odpowiem, że nigdy, nie uwierzy mi pani. Jeśli natomiast powiem, że wiele razy, będzie pani dalej prowadzić to dochodzenie.

- Jest pan bardzo z siebie zadowolony!

- Dlaczego nie miałbym być? - zapytał. - Chyba oboje zdajemy sobie sprawę z własnej wartości i wysoko cenimy własne charaktery, jak również możliwości i, ponad wszystko, ambicje.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy sądzi pan, że jestem ambitna?

- Każdy jest ambitny na swój sposób. Zmarszczyła czoło i rzekła:

- Mam wrażenie, że nie ma pan na myśli ambicji, jakimi zwykle kierują się ludzie: żądzy pieniędzy, tytułów czy sukcesu.

- To przenikliwa myśl, Nevado. Jednak potrafi pani myśleć, choć jak dotąd, nie podejrzewałem pani o to.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- To prawie zniewaga.

- Sądziłem, że potraktuje to pani jako komplement.

- Potraktowałabym, gdyby nie ujął pan tego w taki sposób.

- Więc proszę mi wybaczyć. Myślałem, że jest pani typem kobiety, która woli, by wychwalać raczej jej mądrość, niż urodę.

- Ja jestem...

Zaczerpnęła powietrza i dodała już innym tonem.

- Robi się coraz cieplej.

- Zapowiada się gorący dzień - potwierdził Tyrone. -

Otworzę jeszcze jeden luk.

Mówiąc to podniósł się.

Otworzył luk i spostrzegł, że Nevada położyła dłoń na czole i zamknęła oczy.

Z wysiłkiem otworzyła je, po czym rzekła.

- Boli mnie głowa. Czy może mi pan przynieść szklanekę wody?

- Tak, oczywiście.

Patrząc na nią skierował się w stronę drzwi.

Znowu przycisnęła dłoń do czoła i, jakby nie zdając sobie sprawy z tego co robi, ściągnęła z głowy kapelusz, który spadł na podłogę tuż obok niej.

- Panie St...rome!

Z trudnością wymówiła jego nazwisko. Wydawało się jej, jakby jej głos dochodził z daleka. Spojrzała na niego i nagle otworzyła oczy jeszcze szerzej. Domyślił się, o czym pomyślała w tej chwili. Chciała krzyknąć, oskarżać go. Próbowwała coś powiedzieć, lecz osunęła się na sofę.

Odczekał chwilę. Potem wziął ją na ręce i ostrożnie wyniósł z salonu, a potem na długi, wąski korytarz.

Drzwi kajuty były uchylone. Pchnął je więc tylko nogą, by wejść do środka.

Kajuta, podobnie jak salon, była gustownie, choć skromnie umeblowana. Położył Nevadę na koi.

Ręce jej zsunęły się, podniósł je więc delikatnie i położył przy tułowiu. Potem zasunął na iluminatorze zasłonki, by osłonić ją przed słońcem, i wyszedł z kajuty zamykając za sobą drzwi.

Włożył klucz do kieszeni, wszedł na pokład i wydał polecenie, by wezwano dla niego dorożkę.

Gdy dorożka podjechała, kazał zawieźć się do hotelu „Charlton”.

### Rozdział 3

Nevada otworzyła oczy, po czym zamknęła je znowu, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Głowę miała ociążałą, a usta bardzo spieczone.

Spróbowała przełknąć ślinę, ale okazało się to zbyt trudne.

Czuła, jak jej świadomość powraca z bardzo daleka, z głębi ciemności.

Jeszcze raz otworzyła oczy.

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła, były jej własne bagaże ułożone w wysoką stertę w jakimś ciasnym pomieszczeniu. Potem usłyszała hałas silników i pomyślała, że chyba jedzie pociągiem.

Ale dlaczego?

I dlaczego, jeżeli była w pociągu, nie umieszczono walizek w wagonie bagażowym?

Rozglądała się przez chwilę, z trudnością usiłując skupić na czymś wzrok. Czuła ból głowy prawie nie do wytrzymania.

Usiadła. Spostrzegła luk i natychmiast zrozumiała, że nie znajdowała się w pociągu, lecz na statku.

Wtedy przypomniał się jej Tyrone Strome.

Widziała jego twarz bardzo wyraźnie, wyraz jego oczu, ironicznie wykrzywione wargi.

Chciała mu robić wymówki; obwiniać go o coś. Potem nagle przypomniała sobie.

Kawa!

Była pod wpływem narkotyku, to pewne.

Postawiła stopę na podłodze i z ogromnym wysiłkiem wstała. Chwiała się, kręciło jej się w głowie, lecz jakoś udało się jej dojść do iluminatora i wyrzucić. Nie widać było nic prócz morza, rozciągało się ono aż do błękitnego horyzontu, tam gdzie stykało się z niebem.

Co się stało? Gdzie ona jest?



Przez chwilę pomyślała, że może wszystko to jej się tylko śniło. Potem rozejrzała się i zobaczyła wielką stertę bagaży; rysowała się wyraźnie na tle mebli, była konkretna i namacalna.

W kajucie była toaletka z mnóstwem szufladek i garderoba, a przy jednej ze ścian również półki z szufladami zaprojektowane tak pomysłowo, że ich wierzch tworzył stół.

Koja, na której leżała była większa niż na innych jachtach, ale nie można było jej nawet porównać z łóżkiem na transatlantyku, na którego pokładzie przepłynęła ocean.

Wszystko było tak samo jak w salonie niewyszukane i praktyczne.

Pod jej stopami pulsowały silniki, zadając ciągle od nowa to samo pytanie.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Dlaczego Tyrone Strome podał jej kawę z narkotykiem i dokąd ją zabiera?

Wiedziała, że musi znaleźć odpowiedź na te pytania; to nie silniki, lecz jej umysł domagał się odpowiedzi.

Podeszła do drzwi kajuty ciekawa, czy są otwarte.

Nacisnęła klamkę. Otworzyły się. Ale gdy wyszła na korytarz, zawahała się.

Przechodząc przez kajutę zerknęła mimochodem na swoje odbicie w lustrze, teraz wróciła, by spojrzeć jeszcze raz.

Suknię miała pomiętą, włosy potargane.

Może, gdy była nieprzytomna, zachowywała się niespokojnie. Było jej gorąco i duszno, nie wiedziała, jak długo leżała w narkotycznym śnie.

Jedno wiedziała z całą pewnością: chciało jej się pić.

Rozejrzała się dookoła, zauważyła jeszcze jedne drzwi w kajucie. Otworzyła je, weszła do małej łazienki. Łazienka była luksusowo urządzone, co zdarzało się niezmiernie rzadko na pokładach prywatnych jachtów. Budowano je wyłącznie przy

najlepszym apartamencie, a zwykli goście musieli się zadowalać jedną wspólną łazienką.

Umywalka miała dwa kurki. Na jednym był napis „słona”, a na drugim „woda do picia”. Znalazła szklanke, napełniła ją wodą i wypila łapczywie. Ukoila pragnienie, a rozejrzawszy się, dostrzegła prysznic oraz wannę, w której jak się domyślała, można się było wykapać w wodzie morskiej.

Patrzyła przez moment, a po chwili zastanowienia weszła do kajuty, zamknęła drzwi wejściowe i rozebrała się.

Po natrysku ból głowy ustąpił.

Otworzyła na chybił trafił jedną z walizek. Starannie ułożone czyste suknie przełożone były warstwami bibułki.

Tak robiły tylko francuskie pokojówki. Lecz kto przywiózł jej bagaże do Cannes i jakiego pretekstu użył Tyrone Strome, by z takim pośpiechem wywieźć je z willi?

To były pytania, na które Nevada postanowiła znaleźć odpowiedź. Gdy ubrała się, rozczesala włosy oprawną w złoto szczotką, którą znalazła w swoim neseserze z krokodylej skóry, i spojrzala w lustro, dostrzegła w swych zielonych oczach ogień walki.

A jednak, gdy otwierała drzwi kajuty, by wyjść i odszukać Tyrone'a Strome'a, była trochę zdenerwowana, choć nigdy by się do tego nie przyznała.

Nie rozumiała, dlaczego tak się zachował. Koniecznie musiał się przed nią wytłumaczyć. Wyszła na korytarz i skierowała się do salonu.

Spodziewała się, że Tyrone będzie na pokładzie. Zastała go jednak w salonie. Siedział przy biurku o gładkim blacie i coś pisał. Gdy weszła, podniósł wzrok, ale na jego twarzy nie było cienia zdziwienia, tylko wyraz powagi, której nie widziała u niego przedtem.

Podeszła, i chociaż wiedziała, że wygląda powabnie, nie zauważyła nawet cienia zachwyty w jego oczach. Jak dotąd prawie każdy mężczyzna obdarzał ją komplementami.

- Więc pani wstała?

- Tak, wstałam - odparła Nevada - i życzę sobie wiedzieć, dlaczego jestem tutaj i dlaczego wsypał mi pan do kawy narkotyki.

- Zaoszczędziłem sobie mnóstwo czasu na przekonywanie pani - odparł spokojnie.

- O czym miałyby mnie pan przekonywać?

- Mogłaby pani nie życzyć sobie opuszczać Cannes.

- Dokąd mnie pan zabiera? To nadzwyczaj zdumiewający sposób postępowania!

- Nadzwyczajne sytuacje wymagają nadzwyczajnego postępowania!

Oboje stali, lecz gdy statek przechylił się, Nevada usiadła na stojącym przy biurku krześle z wysokim oparciem.

Tyrone Strome wiedział, że Nevada stara się panować nad sobą dostrzegł jednak gniew w jej oczach.

- Sądzę, panie Strome - rzekła chłodno - że lepiej będzie, jeśli pan wyjaśni mi, co pan zamierza dalej robić, zanim każe panu zawrócić jacht i odwieźć mnie z powrotem do Cannes.

Tyrone Strome, który siedział w fotelu za biurkiem, odchylił się do tyłu rozpierając się wygodnie.

- Zabieram panią do Afryki! - powiedział. - Mam nadzieję, że podróż ta stanie się ważnym elementem pani wychowania.

- Do... Afryki? - zdziwiła się Nevada.

Jakoś, nie wiadomo dlaczego, zdawało się jej, że przecinają Morze Śródziemne i płyną co najwyżej na Malte lub Baleary.

- To śmieszne! - krzyknęła gniewnie. - Wie pan równie dobrze jak ja, że nie może mnie pan wywieźć, nie udzielając

przedtem wyjaśnię pańskiej siostrze, u której się zatrzymałam.

- Jeśli pozwoli pani, będę szczery i powiem, że moja siostra była niezmiernie rada, że pozbywa się pani.

- Chce pan powiedzieć, że lady Merrill... uczestniczyła w tym... porwaniu?

- Jeśli woli pani tak to ująć, to istotnie tak było.

- Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam czegoś równie haniebnego. Była przyjaciółką mojej matki, myślałam więc, że mogę jej zaufać, że będzie traktować mnie przyzwoicie. Trudno mi nawet sobie wyobrazić, jak zareaguje mój ojciec, gdy się dowie o pańskim postępku!

- Prawdopodobnie nie dowie się o nim przez miesiąc czy dwa - odparł Tyrone - a jeśli chodzi o moją siostrę, powinna pani wiedzieć, że podobnie jak tygrysica walczy o swoje tygrysiątka, tak każda matka walczy o swoje dziecko.

- Więc u podłoża całego tego nonsensu tkwi David!

- Właśnie tak! - zgodził się Tyrone Strome. - David.

I ogromny o niego niepokój.

- I sądzi pan, że on pozwoli, bym zniknęła w tak niezwykły sposób, i nie będzie zastanawiał się, co się ze mną stało?

- David w tej chwili jest również w drodze do Afryki, ale wasze ścieżki na pewno się nie zejdą.

- Zmusił go pan do wyjazdu, mimo że obiecał, iż zostanie ze mną?

- Po przeczytaniu pani listu zrobił to chętnie.

- Jakiego listu?

- Listu, który pani napisała do niego; bardzo miły list, w którym zawiadamia go pani, że gdy opuścił willę i pojechał grać w tenisa, otrzymała pani pilną depezę od ojca. Prosił, aby niezwłocznie wróciła pani do Ameryki.

Nevada wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Napisała pani - ciągnął dalej - że choć jest mu bardzo zobowiązana za okazaną przyjaźń, uświadomiła sobie jednak, że jej serce należy do kraju, w którym się urodziła, i gdzie zamierza pozostać na zawsze.

Przerwał, wpatrując się w twarz Nevady, po czym dodał:

- To był bardzo miły list, którego David będzie strzec jak najdroższego skarbu i zachowa go w pamięci. List ten ani nie unieszczęśliwi go, ani nie pograży w rozpacz do tego stopnia, by chciał odbierać sobie życie.

- Napisał pan to wszystko i podpisał moim nazwiskiem?

- Pani charakter pisma jest bardzo łatwy do podrobienia. Nie ma w nim nic osobliwego ani trudnego.

- Oprócz wszystkich innych zbrodni popełnił pan jeszcze fałszerstwo!

- Umiejętność ta niejednokrotnie okazywała się użyteczna w różnych momentach mojego życia.

- Jak pan śmie traktować mnie w taki sposób!

- To pani sprawiła, że inne postępowanie stało się niemożliwe.

- Czy pan wierzy w te śmieszne pogrożki Davida, że porwie się na swoje życie?

- Nie tylko wierzę, ale nawet powstrzymałem go przed spełnieniem tych pogrózek.

- Nie wierzę panu. Mężczyzna, który grozi, że popełni samobójstwo, jest tylko komediantem.

- Pani znajomość mężczyzn nie jest tak dobra jak moja.

Była to niezaprzeczalna prawda, więc Nevada, z większym jeszcze gniewem powiedziała:

- Nadal nie wyjaśnia to pańskiego zachowania. Tego, że mnie pan tu ściągnął, zamroczył tą swoją ohydną kawą i

napisał list podpisując się w moim imieniu. Żądam, aby pan zawrócił jacht i odwiózł mnie z powrotem do Francji.

Zauważyła odmowę w jego oczach, zanim zdążył odpowiedzieć. Postanowiła więc nieco ustąpić.

- Jeżeli aż tak obawia się pan o swego drogocennego siostrzeńca i nie chce mnie odwieźć do Cannes, może mnie pan wysadzić w Marsylii. Mam już dość pana i pańskiej rodziny. Wrócę do Anglii.

- To byłoby możliwe - rzekł Tyrone Strome - ale postanowiłem, że dam pani nauczkę. Nauczę panią, że nie ma pani prawa ranić żadnego mężczyzny tak jak mego siostrzeńca. Davidowi się udało, ale inni mogą nie mieć tyle szczęścia.

- Jest pan śmieszny! To absurd! Mężczyźni doskonale potrafią zadbać o siebie. Jeżeli tak nie jest, nie powinni nazywać się mężczyznami.

- To prawda, jeśli dotyczy to zwykłych kobiet. Pani nie jest jednak zwykłą kobietą, Nevada. Jest pani okrutna, ma pani serce z kamienia, jestem skłonny sądzić, że jest pani zła!

Nevada zerwała się na równe nogi.

- Jak pan śmie mówić coś takiego! Znieważa mnie pan, a pańskie postępowanie, jak sam pan doskonale wie, jest przestępstwem. Pójdzie pan do więzienia, panie Strome.

- Jest w tym pewne ryzyko, które zresztą wziąłem pod uwagę - odparł. - Tylko gdzie pani znajdzie teraz jakiegoś policjanta, francuskiego, angielskiego czy też amerykańskiego? Nie zwykłem ich wozić ze sobą w składzie mojej załogi.

Stała i wpatrywała się w niego. Domyślił się, że intensywnie zastanawia się, jaki zrobić następny ruch.

Po chwili przeszła przez salon, zatrzymała się przed iluminatorem i wyjrzała na morze.

- Gdzie jesteśmy? Jak długo byłam nieprzytomna?

- Obecnie znajdujemy się dwadzieścia mil za Gibraltarem  
- odparł Tyrone Strome - i płyniemy wzdłuż atlantyckiego wybrzeża Maroka. Była pani nieprzytomna prawie czterdzieści osiem godzin.

- Tak długo?

- Narkotyk, który pani dałem, był bardzo silny. I, jak mogła pani się przekonać, zadziałał błyskawicznie.

Cicha, spokojna odpowiedź Tyrone'a i niemal bezbarwny głos wzbudzały lęk.

Rozdrażniona usiadła na sofie.

- Ponieważ od czterdziestu ośmiu godzin nic nie jadłam, jestem bardzo głodna.

- To zrozumiałe - rzekł Tyrone Strome - ale przedtem muszę pani coś wyjaśnić.

- Co takiego?

- Zabrałem panią w tę podróż nie tylko dlatego, by ratować siostrzeńca, a przy okazji i młodego Dundonalda, lecz by przekonać się, czy diabolicę można zamienić w kobietę.

- Nie... rozumiem, co pan usiłuje mi powiedzieć.

- Moim zdaniem, rozumie pani doskonale. Aż do dzisiejszego dnia, Nevado, szła pani przez życie wydając tylko polecenia. Ludzie spełniali je, dlatego, że pani im za to płaciła. Zamierzam przekonać się, czy jest pani w stanie ofiarować mężczyźnie czy też kobiecie cokolwiek innego, oprócz pieniędzy.

Gdzieś w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że słyszała już kiedyś te słowa. Potem przypomniała sobie rozmowę z Davidem, w ogrodzie, tego wieczora, gdy przyjechał Tyrone Strome.

- Pan podsłuchiwał! - rzekła z wyrzutem. - Wiem już. Podsłuchiwał pan będąc w swoim pokoju, podczas gdy David i ja staliśmy pod balkonem.

- Tak, to prawda - przyznał Tyrone. - Prawdą jest też, że nigdy w życiu nie słyszałem, by jakaś kobieta z takim okrucieństwem odnosiła się do mężczyzn, których jedynym grzechem było to, że byli na tyle głupi, by się w niej zakochać.

Słowa smagały jak bicz. Nevada wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Teraz rozumiem, dlaczego jest pan na mnie tak zły. Ale czy to nie śmieszne? Koniec końców nie prosiłam przecież Davida, by się we mnie zakochiwał, ani też Charliego, jeśli już o tym mowa.

- Zrobiła pani jednak wszystko, by tak było - rzekł Tyrone. - I była pani gotowa, Nevada, wypróbować swoje sztuczki także na mnie.

Roześmiał się.

- Niestety, w stosunku do mnie nie była pani wystarczająco sprytna. Tak naprawdę, mając nawet na uwadze pani niewielkie doświadczenie w uwodzeniu, było to przedstawienie godne ubolewania.

Jego pogarda była o wiele bardziej poniżająca niż gniew.

- Chcę jeść - powiedziała ponuro.

- Mimo że na jachcie jest mnóstwo jedzenia - poinformował Tyrone - jeśli chce pani jeść, musi sobie pani sama radzić. Zakładam, że wie pani, gdzie jest kuchnia.

Spojrzała na niego niepewnie.

- Dlaczego steward nie miałby mi... przynieść?

- Ponieważ sędzę, że korzystne będzie dla pani, jeśli sama sobą się pani zajmie. Będzie też mogła pani przekonać się, chyba po raz pierwszy w życiu, że nie wszystko można kupić za pieniądze.

- To śmieszne!

- Może się wydawać pani śmieszne, lecz jestem skłonny udowodnić, że ten jacht należy do mnie, i że będę tu tak rządził, jak zechcę. Jeżeli jest pani głodna, proszę sobie wziąć



coś do jedzenia, w przeciwnym razie pozostanie pani głodna. Nawiasem mówiąc, do pani kajuty nie będzie przydzielonej służby.

- Jak pan śmie traktować mnie w taki sposób!

- To nie takie trudne. Być może nauczy się pani przy okazji, że nie należy podróżować po świecie bez odpowiedniej opieki. Kobieta, która sądzi, że nie potrzebna jest jej ochrona, popełnia błąd.

- Z pewnością nie życzyłabym sobie, by to pan się mną opiekował! - odparła Nevada szorstko.

Gdy to powiedziała, zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Tyrone uśmiechał się jak ktoś, kto ma do czynienia z krnąbrnym dzieckiem lub niesfornym, hałaśliwym zwierzęciem.

Wstała.

- Gdzie jest kuchnia? - spytała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Na rufie, jak to zwykle na jachtach bywa - poinformował. - Ponieważ zbliża się pora lunchu, zastanie tam pani kucharza. Jest Chińczykiem, więc nie będzie pani w stanie porozumieć się z nim.

Ponieważ zdała sobie sprawę, że dalsza dyskusja nie ma sensu, wyszła z salonu trzaskając drzwiami.

Na rufie statku bez trudu znalazła kuchnię. Urządzona była daleko bardziej nowocześnie, niż na innych statkach, na których miała sposobność bywać.

Chiński kucharz wraz ze swoim młodszym pomocnikiem, obaj w nieskazitelnie białych ubraniach, przygotowywali lunch. Gdy poczuła zapach jedzenia, zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna.

Wiedziała już, że nie będzie mogła porozumieć się z kucharzem, pokazała mu więc na migi, że jest głodna. Chińczyk wskazał na taboret stojący z drugiej strony wąskiego

stołu, przy którym przygotowywał posiłek, Z tyłu za nim, na kuchence, przypiekał się stek.

Chociaż morze było spokojne, łatwiej było siedzieć niż stać. Wzięła więc stołek i usiadła przyglądając się kucharzowi, jak ten z niezwykłą zręcznością przygotowuje garnir - małe świeże grzybki, bakłażan i groszek.

Przy kuchence stał półmisek ze szparagami. Gdy mieszkała w willi, szparagi były wtedy jej ulubioną potrawą. Codziennie dostarczano je świeże prosto z pól uprawnych spod Nicei.

Stek był już gotowy. Kucharz ułożył go na półmisku, udekorował potrawę i wtedy, jak na zawołanie, zjawił się steward, również ubrany w nieskazitelnie białą marynarkę, ozdobioną pozłacanymi guzikami.

Przyniósł tacę z serwetką, na której leżały wykwintne, błyszczące srebrne sztucce i postawił ją na stole, a pomocnik ustawił na niej półmisek ze szparagami, wymieszaną sałatkę i dwie sosjerki. W tym czasie kucharz przykrył stek srebrną pokrywą i postawił na gorącej płycie na tacy.

Wtedy, ku zaskoczeniu Nevady, steward odwrócił się i wyszedł z kuchni.

Dopiero wtedy zrozumiała, że obiad był przygotowywany tylko dla jednej osoby, dla Tyrone'a.

- A ja? - wrzasnęła, wskazując na siebie.

W odpowiedzi kucharz wziął w rękę surowy stek i położył go przed nią. Przesunął w jej kierunku resztki grzybów, groszku i bakłażana, również nie przyrządzone, po czym wraz z pomocnikiem wyszedł z kuchni.

Przez chwilę Nevada nie pojmowała, co się stało. Potem zrozumiała, że oni po prostu słuchali poleceń Tyrone'a. W pierwszej chwili zacisnęła ze złości dłoń, chciała rzucić stek na podłogę i podeptać go.

Jednak zboleły głos w jej wnętrzu dał znać, że była krańcowo, bezwstydnie głodna i złość na nic się tu nie zda.

Z wahaniem przeszła na drugi koniec stołu, kciukiem i palcem wskazującym chwyciła surowe mięso i położyła na grillu.

Tyrone Strome zszedł z mostku, na którym przed chwilą rozmawiał z kapitanem o tym, jaką odległość przepłynęli w ciągu dnia, i wszedł do salonu.

Jacht słusznie cieszył się opinią jednego z najszybszych tego rodzaju statków, pływających po morzach świata. Zbudowany został na zamówienie Tyrone'a. Zdarzały się bowiem często takie chwile, gdy musiał z pośpiechem, najszybciej jak tylko można, opuszczać miejsca, które stawały się zbyt niebezpieczne dla jego życia. „Moulay” nigdy jeszcze nie zawiodła w potrzebie. Wszyscy członkowie załogi pływali z nim od dawna i wiedział, że doskonale wykonają każde jego polecenie bez żadnej dyskusji, zadawania pytań i z godnym podziwu, ślepym posłuszeństwem.

Idąc do salonu, rozmyślał, jak też Nevada poradziła sobie z przyrządzeniem posiłku. Pomyślał, że najprostszy sposób na to, by nauczyć się gotować, to pozostawać głodnym, aż do chwili nabrania tej umiejętności.

Zastanawiał się też, jak Nevada radzi sobie w kajucie bez pokojówki.

Był przekonany, że najcięższą pracą, jaką dotychczas wykonała ta milionerka, mogło być co najwyżej podniesienie z podłogi kartki papieru.

Uważał ją za typ pasożyta, których chyba najbardziej nie znosił.

Milionerzy, którzy sami torowali sobie drogę do fortuny, przynajmniej ciężko pracowali. Natomiast ich rozpieszczone kobiety, którym pozwalano na zbyt wiele, i które są święcie

przekonane, że za pieniądze mogą kupić wszystko na świecie, zawsze wzbudzały jego pogardę.

Na pokładzie „Moulay” Nevada zetknie się z życiem innym niż to, do którego była przyzwyczajona w domu ojca przy Piątej Alei.

Tyrone wszedł do salonu i podszedł do biurka. Gdy tylko usadowił się wygodnie i wziął dokumenty, nad którymi ostatnio pracował, otworzyły się drzwi i weszła Nevada.

Miała na sobie tę samą białą suknię co wcześniej, lecz teraz oczy jej błyszczały niezwykłym blaskiem. Przeczuiwał, że wymyśliła jakąś intrygę.

- O co chodzi? - zapytał chłodno. - Jestem zajęty.

- Sądzę, że znajdziesz czas, by mnie wysłuchać.

Gdy weszła, nie zadał sobie nawet trudu, by wstać. Zniecierpliwiony odezwał się:

- Tak się składa, Nevado, że mam dużo pracy i naprawdę muszę prosić cię o wybaczenie, ale nie mogę z tobą rozmawiać. Lepiej poćwicz trochę, byś mogła lepiej wykonywać swoje obowiązki.

- Jestem dość wyćwiczona na to, by być dobrym strzelcem.

Mówiąc to, spod fałd sukni wyciągnęła rewolwer i skierowała go w stronę Tyrone'a.

Nawet nie drgnął, po prostu patrzył na nią, jakby czekając na wyjaśnienia.

- Poślij po kapitana - rzekła Nevada - i powiedz mu, by zawrócił jacht i wysadził mnie w najbliższym porcie.

- A jeśli odmówię?

- Wówczas znajdziesz się w kłopotliwym położeniu.

Ciągnęła dalej z triumfem w głosie:

- Nie zabiję cię, ponieważ nie mam ochoty odpowiadać za morderstwo. Nie mogę też, jak ci wiadomo, wydać poleceń twojej załodze. Mogę jednak postrzelić cię w ramię, byś

przekonał się, jak to boli, a jeżeli nadal nie posłuchasz, postrzelę cię również w nogę.

- Obmyśliłaś to bardzo starannie.

- Jak widzisz, potrafię zadbać o siebie - odparła Nevada. - Aby mieć pewność, że będę w stanie zrobić to w każdej sytuacji, ćwiczyłam strzelanie na rancho mojego ojca w Kolorado.

Tyrone nie odpowiadał, więc mówiła dalej:

- Teraz..., przegrałeś, wiesz o tym doskonale. Poślij po kapitana, w przeciwnym razie obiecuję, że spełnię swoją groźbę.

- Ponieważ wolałbym, by kapitan nie opuszczał mostka, prześlę mu wiadomość.

Lewą ręką przysunął do siebie kartkę papieru, prawą ujął pióro i zanurzył je w dużym, kwadratowym kałamarzu stojącym na biurku.

Nevada przyglądała mu się z uśmiechem na ustach.

Nagle Tyrone, dłonią w której trzymał pióro, gwałtownie uderzył w kałamarz, który wyleciał jak z procy prosto w jej kierunku.

Instynktownie, jak każda kobieta, zrobiła krok do tyłu, aby uchronić się przed zaplamieniem sukni atramentem, a wtedy Tyrone, z szybkością wytrenowanego sportowca, przeskoczył biurko, chwycił jej rękę i poderwał do góry.

Chciała krzyknąć z wściekłości, ale nim zdążyła otworzyć usta, wyjął rewolwer z jej dłoni i włożył do kieszeni.

Stała wpatrując się w niego ze złością. Na podłodze, pomiędzy nimi, widniała kałuża rozlanego atramentu.

Potem jakby jego czyn pozbawił ją resztek samokontroli, rzuciła się do jego twarzy z rozwartymi palcami.

Powstrzymując ją jedną ręką, drugą mocno uderzył w policzek.

Odgłos uderzenia zabrzmiał jak strzał, co nie tylko powstrzymało jej atak, lecz zgasiło też jej wściekłość. Stała więc teraz patrząc na niego ze zdumieniem, dłonią dotykając policzka.

- Uderzyłeś mnie!

W jej głosie słychać było tylko ogromne zaskoczenie.

- Tak, uderzyłem cię - odparł Tyrone - i uderzę jeszcze raz, jeżeli będziesz zachowywać się jak przekupka. Jesteś wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, że zmagając się ze mną, nie masz nawet cienia szansy na zwycięstwo.

Stała wpatrując się w niego, nadal trzymając dłoń na rozpalonym policzku. Potem wydała stłumiony okrzyk, przypominający nieco szloch, odwróciła się i wybiegła z salonu.

Resztę dnia Nevada spędziła w kajucie leżąc na koi i planując zemstę.

Przedtem, gdy przypomniła sobie, że w bagażu ma rewolwer, była absolutnie pewna, że będzie w stanie zmusić Tyrone'a, by odwiózł ją o najbliższego portu.

Oprócz biżuterii, wartej niemałą fortunę, miała sporo pieniędzy i była przekonana, że gdziekolwiek zejdzie na ląd, będzie mogła dotrzeć do Europy, a może nawet do Ameryki.

Tyrone jednak pokonał ją.

Aczkolwiek nienawidziła go za to, co zrobił, nie mogła powstrzymać myśli, że niewielu mężczyzn mogłoby popisać się taką siłą i zwinnością.

- Mierzi mnie! - powiedziała głośno. - Nie powinien traktować mnie w taki sposób! Prędzej go zabiję niż dopuszczę do tego, by mnie pokonał!

Łatwo było to powiedzieć, jednakże bez broni nie miała wielkich szans. Mały rewolwer, który zawsze zabierała ze sobą w podróż, by zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa, teraz był w posiadaniu Tyrone'a. Poza rewolwerem nie

dysponowała niczym, czym mogłaby mu zagrozić. Pomyślała, że może po prostu rzuci się do morza, by mu choć w ten sposób dokuczyć. Ale zaraz przyszła jej do głowy niemiła myśl, że być może uznaliby to za doskonały sposób pozbycia się jej i nie kiwnąłby nawet palcem, by ją ratować.

Jednak po chwili wydało się jej nieprawdopodobne, by pozwolił jej utonąć. Równocześnie uświadomiła sobie, że była w nim jakaś bezwzględność, z jaką jeszcze nigdy przedtem się nie zetknęła.

- Muszę go pokonać... muszę! - powtarzała sobie całą noc.

Gdy o poranku poczuła głód, postanowiła przyrządzić sobie coś do jedzenia. Udała się do kuchni. Kucharza nie było, najwidoczniej wszyscy już zjedli. Na stole leżało kilka jajek i plasterki boczku. Z ogromnym trudem przygotowała posiłek.

Jej doświadczenia kulinarne ograniczały się do organizowanych na wsi barbecue. Uczestniczyła w nich, gdy przyjaciele dochodzili do wniosku, że zabawnie byłoby upiec sobie stek i kiełbaski na otwartym ogniu. Wówczas łaskawie pozwalała, by co przystojniejsi kawalerowie ją obsługiwali.

Teraz poparzyła sobie palce, a potrawa, którą w końcu przyrządziła, prawie nie nadawała się do zjedzenia. Była jednak bardzo głodna, zjadła więc przygotowane przez siebie śniadanie, choć głównie składało się ono z chleba i masła. Przez chwilę próbowała poszukać dżemu albo miodu. Nie było jednak nikogo, kogo mogłaby zapytać, musiała więc zadowolić się tym, co znalazła.

Wróciła do kajuty. Zastała ją dokładnie w takim stanie, w jakim ją opuściła. Łóżko nie zasłane, ubrania, które wczoraj miała na sobie, nadal leżały na podłodze. Rozdrażniona kopnęła suknię. Potem jednak uświadomiwszy sobie, że przecież to jedna z jej najładniejszych sukienek, podniosła ją i powiesiła w szafie.

Z niesmakiem spojrzała na ogromny stos walizek. Jak poradzi sobie sama z całym tym bagażem? A gdy już rozpakuje ubrania, które zamierza nosić, jakże zdoła je na powrót zapakować?

Usiadła na koi i próbowała znaleźć jakiś sposób, by przekonać Tyrone'a, jeżeli nie przemocą, to w jakiś inny sposób, by zrezygnował z wymierzania tej absurdalnej kary.

Dobrze wiedziała, że Tyrone chciał ją ukarać za niegrzeczne, jak sądził, obchodzenie się z jego siostrzeńcem, Davidem.

- Wiedziałam, że mężczyźni zawsze trzymają razem - powiedziała do siebie - lecz to przechodzi wszelkie wyobrażenie.

Nienawidziła nie tylko Tyrone'a, ale i Davida, i wszystkich, podobnych do niego mężczyzn. Tak naprawdę nienawidziła wszystkich mężczyzn. W przyszłości wykorzysta więc każdą nadarzającą się sposobność, by im dokuczyć i sprawić, by cierpieli.

Jednak w sytuacji, w jakiej teraz się znalazła, na nic się to nie zda. Była we władzy Tyrone'a i nie widziała żadnego wyjścia.

Po długim zastanowieniu zdecydowała, że musi przyjąć inną taktykę.

Zaczęła wyjmować ubrania, dopóki w jednej z ogromnych walizek nie znalazła sukni, która, jak sądziła, nadawała jej smutny wygląd. Włożyła ją, inaczej niż zwykle upięła włosy i weszła do salonu. Jak się spodziewała, Tyrone siedział za biurkiem.

- Czy jest pan... bardzo zajęty? - zapytała łamiącym się głosem. - Jeżeli tak... to mogę przyjść później.

- Czego pani chce? - zapytał oschle.

- Chcę z panem... porozmawiać.

- Nie mamy o czym mówić.



- Byłoby uprzejmie z pańskiej strony, gdyby pan wysłuchał, co mam do powiedzenia.

Westchnął rozdrażniony, odsunął na bok dokumenty i rzekł:

- No dobrze! Jeżeli zamierza pani rzucić we mnie bombą albo ma pani schowany w spódnicy oszczep, to proszę wyciągać, byle szybko. Jestem zajęty!

- To nic... z tych rzeczy.

Podeszła do biurka i usiadła na brzegu krzesła zwróconego przodem do Tyrone'a.

Oczy miała ogromne i zielone, a rude włosy, które tak umiejętnie upięła, otaczały jej drobną twarz niczym aureola.

- Chciałam tylko powiedzieć... panie Strome - rzekła - powiedzieć... przepraszam.

Tyrone wpatrywał się w nią, a ona mówiła dalej.

- Myślałam... o tym, co pan powiedział i teraz zdaję sobie sprawę z tego jak... źle... jak bardzo źle traktowałam Davida. Nie sądziłam... że on... naprawdę chciał odebrać sobie życie... Tak naprawdę niewiele wiem o mężczyznach... Jestem jeszcze taka młoda...

Oczy miała spuszczone, a czarne rzęsy kontrastowały z białą cerą. Mówiła dalej cichym głosem:

- Przykro mi... naprawdę tak mi przykro, że byłam... tak nieuprzejma.

Czekała na odpowiedź Tyrone'a, ale on roześmiał się tylko.

- Wspaniałe przedstawienie, Nevado. Jak w teatrze. Szkoda, że jest pani tak bogata. Na scenie mogłaby pani zarobić fortunę!

- Nie jestem... komediantką - zaprotestowała i wbrew sobie samej podniosła głos.

- Wszystko, czego pani teraz potrzeba to, pełna uznania widownia - rzekł. - Jestem całkowicie przekonany, że gdyby

widownia składała się z kobiet, doprowadziłaby je pani do łez. Ale to ja stanowią tu widownię i raczej sceptycznie odnoszę się do skruszonego grzesznika cofającego się na widok koła tortur.

Nevada zacisnęła wargi.

Doprowadzał ją do szału, z trudem panowała nad sobą.

- Musi pan wierzyć... panie Strome - rzekła. - Jest mi naprawdę... przykro.

- Cóż, miło mi to słyszeć, ale to nie znaczy, że zmienię plany odnośnie do tego, by zrobić z pani kobietę. Mam nadzieję, że smakował pani lunch. A teraz proszę mi wybaczyć, muszę pracować.

Nevada wstała.

- Proszę odstąpić od swoich planów - błagała, teraz już nie grając. - Proszę mnie odwieźć... obiecuję, że nigdy więcej nie skontaktuję się ani z Davidem, ani z pańską siostrą... ja po prostu nie mogę pozostać dłużej... w takim miejscu.

- Dlaczego nie?

- Nigdy przedtem nie żyłam w takich warunkach.

- Będzie to więc dla pani jeszcze jedna interesująca przygoda, o której będzie pani mogła wszystkim opowiadać po powrocie do Nowego Jorku, wzbudzając zdumienie słuchaczy.

- Kiedy będę mogła pojechać do domu?

- Kiedy uznam, że jest pani gotowa do wyjazdu.

- Proszę być poważnym - błagała Nevada. - Już się pan odegrał. Jestem gotowa paść do nóg i przeproszać za wszystko, ale proszę nie zmuszać mnie, bym pozostawała tu dłużej z panem. Jeżeli ktokolwiek z moich znajomych usłyszałby, co teraz mówię, przeżyłby szok.

- Nikt tego nie usłyszy - odparł Tyrone. - Już ja o to zadbałem. David, Charlie i cała reszta, z wyjątkiem mojej siostry, wszyscy są przekonani, że wróciła pani do Ameryki.

Jeśli pani Langholme będzie chciała dołączyć do pani, moja siostra poradzi sobie z tym. Poza tym, zarówno w południowej Francji, jak i w innych zakątkach świata jest wiele osób, które być może chciałyby gościć panią u siebie.

Nevada wzięła głęboki oddech. Poczowała się, jakby zamknięto ją w przepastnym lochu, skąd nie było ucieczki.

- A co się tyczy skandalu - ciągnął Tyrone - gdy wróci pani do cywilizowanego świata i opowie, co się wydarzyło w czasie tej podróży, pograży to panią ostatecznie.

- Sądzi więc pan, że nikomu o tym nie powiem? - zapytała gniewnie Nevada. - Robi pan ze mnie głupca, dobrze pan o tym wie. Traktuje mnie pan, jakbym była przestępczynią. Nie jest to w żadnym razie powód do dumy. Dlaczego więc pan to robi? Przecież odegrał się pan już. Czy to nie wystarczy?

- Mówiłem pani, że wszyscy mamy jakieś ambicje, mniejsze czy większe - odparł Tyrone Strome. - Teraz moją ambicją jest zamienić tę niemiłą młodą istotę w coś zupełnie odmiennego. Może mi się, rzecz jasna, nie udać. Może się bowiem okazać, że jest to po prostu nie do zrobienia. Jednakże przynajmniej spróbuję.

- Wcale nie jestem niemiła! - wrzasnęła Nevada. - Nie jestem też taka zła, jak usiłuje pan mi wmówić. Byłam bezmyślna, owszem, jestem gotowa też przyznać, że przewróciło mi się w głowie od nadmiaru uwielbienia, ale poza wszystkim jestem też zwykłą dziewczyną.

- Otóż nie zgadzam się z tym i muszę stwierdzić, że wcale nie jest pani zwykłą dziewczyną - zaprotestował Tyrone. - Powiedziała pani, na przykład, że nawet nie cierpi myśli o miłości.

- To prawda - potwierdziła Nevada.

- Jakaż inna kobieta nie miałaby choć trochę łagodności, sympatii lub choćby współczucia dla mężczyzn, którzy

zakochują się w niej bez pamięci? - zapytał Tyrone. - I któż nie chciałby kochać i być kochanym, jest to przecież rzecz naturalna zarówno dla mężczyzny jak i dla kobiety, i to od zarania dziejów.

Wypowiadane słowa odbijały się echem od ścian salonu.

- Cóż mogę na to poradzić, że taka jestem? - warknęła Nevada.

- Właśnie mam zamiar poradzić coś na to - odparł Tyrone Strome. - Może to zająć dużo czasu, więc im szybciej oswoi się pani z tą myślą tym lepiej!

Nevada tupnęła nogą.

- Nienawidzę pana! Nienawidzę i czuję do pana wstręt! Jeżeli tylko będę miała możliwość pana zabić, zrobię to z całą pewnością. Gdybym miała trochę więcej rozumu, zastrzeliłabym pana od razu, nie czekając, aż odbierze mi pan rewolwer.

- Wielka szkoda, że nie pomyślała pani o tym wcześniej - odparł z drwiną.

Nevada zacisnęła pięści. Domyślił się, że chyba znowu miała ochotę podbiec do niego i podrapać twarz, dokładnie tak, jak próbowała zrobić to wcześniej.

Przypomniała sobie jednak, że wtedy ją uderzył. Odwróciła się więc i wybiegła z salonu, trzaskając drzwiami.

Tyrone Strome roześmiał się, a po chwili zagłębił się w dokumentach.

## Rozdział 4

Siedząc na grzbiecie wielbłąda i kołysząc się w takt jego kroków Nevada myślała o tym, że przypominało to kołysanie na falach.

Wprost nie wierzyła, że to, co się z nią działo, było prawdą, i że faktycznie podróżowała siedząc na grzbiecie wielbłąda w czymś, co przypominało lektykę. Lektyka była zrobiona ze splecionej pokolorowanej wikliny, a u góry miała opuszczaną zasłonkę.

Wiedziała, że takich lektyk używały wyłącznie kobiety należące do elity społeczności saharyjskiej, inne bowiem wędrowały z głowami osłoniętymi udrapowanymi błękitnymi woalkami lub, zgodnie z muzułmańską tradycją, szczelnie osłonięte haikiem.

O tym, jak się nazywa ten biały ubiór podobny do namiotu, dowiedziała się z książek, których wiele przeczytała na jachcie.

Jednak książki nie przygotowały jej do tak niespodziewanego wyjazdu, kiedy to miała wrażenie, że na zawsze straciła własną tożsamość i stała się tylko dobytkiem Tyrone'a Strome'a.

Gdy jacht płynął wzdłuż wybrzeży Maroka, pozbyła się swej dumy na tyle, by zapytać Tyrone'a, czy może sobie wziąć parę książek do czytania.

Samotne przesiadywanie w kajucie, która stawała się coraz mniejsza i bardziej niewygodna w miarę otwierania kolejnych walizek, przygnębiało ją niezmiernie. Samotne spacerowanie na pokładzie jachtu, gdzie wszyscy ją ignorowali począwszy od gospodarza, a skończywszy na członkach załogi, również nie poprawiały jej nastroju. Monotonie tych dni przerywały tylko chwile, gdy musiała przygotować sobie coś do jedzenia.

Przeżywała katusze widząc apetyczne i pyszne dania podawane Tyrone'owi, pozostawiona sam na sam z kawałkami surowego mięsa, kurczaka lub ryby, które musiała sobie przyrządzać.

- Nie cierpię gotowania! - powtarzała stale.

Mimo to przyglądała się pracy chińskiego kucharza i po jakimś czasie okazało się, że potrawy, które przyrządzała, nie były już tak niesmaczne jak na początku.

Fakt, że za każdym razem, gdy chciała jeść, musiała iść do kuchni, upokarzał ją i ranił jej dumę o wiele bardziej niż wszystko, co się wydarzyło na pokładzie „Moulay”.

Tego ranka, gdy po śniadaniu stała na zalanym słońcem pokładzie i przyglądała się zarysom wybrzeża, ku jej zaskoczeniu, podszedł Tyrone Strome.

Stanął przy balustradzie i również zaczął obserwować wybrzeże. Chociaż obiecała sobie, że pierwsza nie rozpocznie rozmowy, coś ją zmusiło, by zapytać:

- Gdzie jesteście?

- Minęliśmy właśnie Agadir - odparł. - To tam, gdzie góry Atlas schodzą do morza.

Mimo że Nevada nie chciała się do tego przyznać, tak naprawdę była pod wrażeniem olbrzymich nagich, brązowych szczytów wznoszących się niczym wieże nad niespokojnym błękitem Atlantyku.

Na przemian widać było to gigantyczne, smagane falami, urwiska, to pokryte roślinnością zielone kotliny, na których rosły drzewa bananowe i kukurydza.

Mijali zatoki w kształcie półksiężyca obramione piaskiem w kolorze brzoskwini, za którymi rozpościerały się płaskie dachy Agadiru.

Miasto było wtulone w zieloną dolinę otoczoną drzewami. Była zachwycona pięknem krajobrazu. Pragnęła podzielić się

z kimś wrażeniami, ale nie miała zamiaru przerywać tego głębokiego skupienia, i to z powodu Tyrone'a.

Nienawidziła go jeszcze zacieklej niż podczas pierwszych dni podróży.

Jedynie wtedy, gdy pogrążała się w czytaniu, zapominała o ogromnej nienawiści, jaką żywiła do człowieka, który ośmielał się ją karać w tak szczególny sposób.

Cały salon zastawiony był regałami pełnymi książek; prawie wszystkie były o Afryce, głównie o Maroku.

Przeważnie były to książki w języku francuskim. Wdzięczna była teraz za to, że jej edukacja, na którą ojciec wydał niemałą fortunę, umożliwiała czytanie w tym języku z łatwością.

Początkowo myślała, że w tych książkach nie ma nic takiego, co mogłoby ją zainteresować, ale gdy zapoznała się nieco z historią Maroka, zapragnęła wiedzieć jeszcze więcej.

Odkryła, że nawet wojny, które toczyły między sobą różne plemiona, mogły być fascynujące, a ponieważ czytała bardzo szybko, zmieniała książki nawet kilka razy dziennie.

Starła się unikać Tyrone'a Strome'a, dlatego przeważnie udawała się do salonu wówczas, gdy miała całkowitą pewność, że w tym czasie był na mostku kapitańskim albo ćwiczył gdzieś na pokładzie.

Tyrone nie tylko dużo spacerował, ale też, jak zauważyła, wykonywał ćwiczenia gimnastyczne, co by tłumaczyło jego wyjątkową zwinność.

Pamiętała jeszcze - na samą zresztą myśl o tym policzki jej płonęły gniewem - z jaką zręcznością odebrał jej rewolwer, i to wtedy, gdy tak była pewna swojej przewagi.

Przez jakiś czas stali w milczeniu. Nie mogąc jednak powstrzymać ciekawości zapytała:

- Dokąd płyniemy?

- Właśnie zamierzałem o tym z panią porozmawiać. Mówiąc to oparł się o balustradę i patrzył w kierunku wybrzeża, Nevada zerknęła na niego nie odwracając głowy. Przemknęły jej przez głowę dwie myśli: pierwsza, że jest niesamowicie przystojny, a druga, że ma jej do zakomunikowania coś nieprzyjemnego.

- Wkrótce zejdziemy na ląd - rzekł. - Ponieważ będziemy przebywali w takim rejonie świata, w którym w ogóle nie widziano lub też widziano zaledwie kilku Europejczyków, ubierze się pani jak kobiety berberyjskie i nałoży litham.

Było to słowo arabskie, ale Nevada wiedziała już po przeczytaniu tylu książek, że jest to część ubioru, na który Europejczycy i Amerykanie mówią czadra.

- Nie zgadzam się! - odpaliła z miejsca.

Wprawdzie zainteresowała ją możliwość zwiedzenia nowego rejonu świata, lecz w żadnym wypadku nie miała zamiaru współdziałać w tych nikczemnych planach i była zdecydowana sprzeciwiać się na wszelkie możliwe sposoby.

- Już wyjaśniłem - powiedział spokojnie, jakby mówił do dziecka - że tam, dokąd panią zabieram, byłoby nierozsądne, a może nawet i niebezpieczne dla nas, gdybyśmy nie postępowali zgodnie z miejscowymi zwyczajami.

- Ponieważ nie mam życzenia nigdzie się z panem udawać, panie Strome - odparła Nevada - włożę to, co sama uznam za stosowne. Jeżeli panu to się nie spodoba, najlepiej będzie, jeśli odprawi mnie pan do Europy i przestanie postępować jak barbarzyńca.

- Gdybym był barbarzyńcą - odparł Tyrone Strome - pani skargi miałyby zdecydowanie inny charakter i dotyczyłyby raczej sposobu traktowania przeze mnie wtedy, gdy znajdowała się pani ze mną sam na sam na pokładzie mojego jachtu.



Przez chwilę patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Potem dostrzegła jakiś szczególny wyraz w jego twarzy i pogardliwie wykrzywione usta. Odwróciła szybko wzrok, świadoma, że jej serce zaczęło mocno bić, i to niewątpliwie ze strachu.

- Proszę iść i włożyć strój, który znajdzie pani w swojej kajucie - powiedział. - To jest rozkaz!

Ponieważ nie chciała dopuścić, by ją tyranizowano, i domagała się należnego szacunku, uniosła wysoko głowę, i zapytała:

- A jeśli odmówię?

- Przekona się pani, że jestem bardzo zręczną garderobianą! - powiedział powoli cedząc słowa - i że mam w tym duże doświadczenie.

Nie było wątpliwości, jaka aluzja kryła się za tymi słowami. Policzki Nevady spłonęły rumieńcem, a gdy odwróciła się, by zejść z pokładu, cała drżała z gniewu.

Weszła do kajuty i zauważyła ku swemu zdziwieniu, że wszystkie walizki zniknęły.

Nie pozostało nic, z wyjątkiem małego wiklinowego koszyka, dzieła ręk miejscowych rzemieślników, w którym znajdowały się jej nocne koszule oraz, nie należące do niej, niewyszukane przybory: szczotka i grzebień do włosów.

Jej oprawne w złoto przybory zniknęły z toaletki, a w zamian stało tam parę małych buteleczek i cynowych pudełeczek zawierających miejscowe kosmetyki.

Wśród nich znajdował się antymon, którego kobiety Wschodu używały do czernienia powiek, była też henna do farbowania dłoni i podeszew stóp na czerwono oraz kolorowe pomady do ust.

Przyglądała się temu w zdumieniu, potem odwróciła się i zobaczyła rozłożony na łóżku litham z podwójną woalką,

biały wschodni kaftan pięknie haftowany złotą nitką, a przy nim biały haik.

Ten podobny do namiotu strój, noszony przez kobiety muzułmańskie, miał za zadanie ukryć je przed wzrokiem obcych i rzeczywiście spełniał swoje zadanie, bowiem kobiety były w nim całkowicie nie do rozpoznania.

Na łóżku leżało też trochę złotej biżuterii: naszyjniki, długie kolczyki, bransolety oraz coś, co przypominało hełm.

Na przodzie miał on duży nabijany klejnotami ornament w kształcie gwiazdy z opadającą w dół turkusową łezką otoczoną małymi brylancikami.

Jej biżuterię i, co ważniejsze, wszystkie pieniądze, które miała ze sobą zabrano. W pierwszej chwili miała ochotę wybiec na pokład i robić Tyrone'owi wymówki, że poza wszystkim innym jest jeszcze złodziejem.

Potem uświadomiła sobie, że on i tak zignoruje jej protest.

Co więcej, miała niemiłe uczucie, że nie żartował mówiąc, że jeżeli go nie posłucha i nie włoży stroju, który polecił jej przynieść, sam ją w niego ubierze.

- Jak mogło mi się coś takiego przytrafić? - zapytała głośno.

Ponieważ naprawdę obawiała się tego, choć nie chciała się do tego przyznać, zaczęła powoli się rozbierać.

Włożyła kaftan, ale nie wiedziała, co ma zrobić z włosami; sposób, w jaki dotychczas upinała włosy, zupełnie nie pasował do nowego stroju, a nawet wyglądał absurdalnie.

Wyjęła szpilki i opuściła włosy na ramiona.

Gdy spojrzała na swoje odbicie w lustrze, nie mogła powstrzymać myśli, że płomiennie rude włosy, prawie sięgające talii, wspaniale kontrastowały z białym - złotym tłem kaftana.

Potem, niemal z żalem, zadała sobie pytanie, jaki jest sens wyglądać atrakcyjnie, gdy mężczyzna, który mógłby to

ewentualnie docenić, nienawidzi jej równie gwałtownie jak ona jego?

Lecz czas mijał; włożyła więc tę szczególną ozdobę - hełm na głowę, ustawiając turkusową łożkę pośrodku czoła. Potem z niesmakiem podniosła litham.

Trzymała go w dłoniach czując, że jeżeli go włoży, będzie to oznaczało jej całkowite poddanie się władzy i woli Tyrone'a Strome'a. Usłyszała pukanie do drzwi.

Nie czekając na zaproszenie wszedł do kajuty.

- Jesteś gotowa?

- Nie mam pojęcia, jak to włożyć - odparła, wyciągając litham w jego stronę.

Wziął go od niej i przyglądał się chwilę rudym włosom spadającym na ramiona.

- Najpierw kolczyki. Podniosła je z łóżka i założyła na uszy.

Uszy miała przekłute już dawno. Kolczyki, które zwykle nosiła, były bardzo kosztowne.

Długie, ozdobne złote kolczyki zwisały lekko z płatków jej małych uszu. Wiedziała jednak, że pod koniec dnia z pewnością poczuje ich ciężar.

Potem włożyła bransolety na ręce i pierścionki na palce.

- Ufarbuj dłonie! - rozkazał Tyrone Strome - i pomaluj paznokcie.

Chciała mu się sprzeciwić, odmówić, lecz w małej kajucie wydawał się tak potężny i przytłaczający, że natychmiast posłuchała.

Zajęło jej to trochę czasu, a on tymczasem w milczeniu stał przy niej blisko, co sprawiało, że przeszywała ją świadomość jego obecności.

Gdy skończyła i przyglądała się zmienionym dłoniom, powiedział:

- Teraz weź antymon i pomaluj powieki!

Znów zapragnęła sprzeciwić się, lecz wiedziała dobrze, że byłoby to bez sensu. Oczy podkreślone czarną kreską wydawały się jeszcze większe i jeszcze bardziej zielone.

Tyrone podniósł litham i włożył na jej twarz. Dotyk jego rąk był zupełnie obojętny.

Równie dobrze mogłabym być kukłą lub kawałkiem drewna - pomyślała Nevada ze złością.

Potem podniósł z łóżka haik, odczekał, aż wstanie z krzesła, owinał ją całą i odwrócił w kierunku drzwi.

- Za dziesięć minut dobijemy do brzegu. Steward pokaże ci wejście na pokład; tam będę czekał na ciebie. Nie będziesz do mnie nic mówiła, cały czas będziesz szła za mną, dopóki nie dojdziemy do wielbłądów.

Gdy skończył mówić, wyszedł z kajuty.

Nagle poczuła, że nie ma siły stać na własnych nogach, usiadła więc znowu na krześle i patrzyła na swoje odbicie w lustrze.

Czy ta owinięta jak tobolek kobieta, którą można poznać tylko po oczach to naprawdę ona?

Miała okropne uczucie, że Nevada van Arden opuściła ją na zawsze. Poczula się zupełnie zagubiona i zdawało się jej, że już nigdy nie wróci do świata, w którym żyła przedtem.

Potem powiedziała sobie, że mimo wszystko przeżywa wspaniałą przygodę, o której będzie mogła opowiedzieć któregoś dnia wzbudzając zainteresowanie słuchaczy, a może nawet opíše to w swoim pamiętniku.

Wszedł steward, by zaprowadzić ją na pokład. Wziął jej wiklinowy koszyk i szedł cały czas za nią podczas gdy ona dumnie wkraczała na pokład. Pomyślała, że jeżeli nawet boi się Tyrone'a Strome'a, on nie powinien nigdy o tym wiedzieć.

Gdy go ujrzała, z niemałym zdumieniem stwierdziła, że przywdział strój tubylczy, podobnie zresztą jak ona, o czym przez chwilę nie pamiętała.

Ubrany był na biało, we wspaniale udrapowany strój szejka. Spodnie, zwane serwal, zwężały się ku dołowi obciskając łydki tuż nad butami do konnej jazdy, zrobionymi z czerwonej skóry.

Głowę miał okręconą białym turbanem, takim jakie nosili tylko najważniejsi wodzowie berberyjscy.

Przy lewym boku miał przymocowany jedwabnym sznurem mauryjski sztylet tkwiący w nabijanym klejnotami futerale.

Gdyby Nevada nie nienawidziła go tak bardzo, przyznałaby, że w udrapowanym fałdzistym stroju wygląda jeszcze okazalej i dostojniej niż w ubraniu Europejczyka.

Twarz miał mocno opaloną, o wspaniałych szlachetnych rysach. Nietrudno było więc uwierzyć, że mógł wywodzić się z jednego ze starożytnych plemion zamieszkujących południowe Maroko.

Gdy weszła na pokład, nie odezwał się ani słowem, tylko odwrócił się i zszedł z pomostu na coś w rodzaju małego nabrzeża, do którego przycumowano jacht.

Nie był to zwyczajny port. Za nabrzeżem można było dostrzec zaledwie parę budynków. Były małe i zaniedbane, zbudowane z wypalanej gleby, takiej samej, na jakiej były wzniesione.

Jednakże, gdy stanęli na nabrzeżu, uwagi Nevady nie przykuły budynki ani też pustynna okolica. Nie mogła oderwać oczu od wielbłądów i osłów, wchodzących w skład karawany oczekującej na ich przybycie.

Wielbłądy leżały, obracały długie szyje w tę i z powrotem i wydawały dziwne odgłosy brzmiące jak zdławione pomrukiwanie lub bulgotanie.

Tyrone'a przywitała gromada mężczyzn ubranych w jasnoniebieskie szaty i czarne turbany.

Byli wysocy, dobrze zbudowani i pełni uroku. Mieli długie, czarne, jedwabiste włosy, czarne oczy, małe nosy i, jak zauważyła Nevada, niezwykle delikatne dłonie.

Domyśliła się od razu, że byli to błękitni nomadowie, legendarni nomadowie z pustyni z południowego Maroka, wywodzący się z arabskich i berberyjskich plemion, głównie z plemion Regeibat.

Ich przydomek „błękitni nomadowie” wziął się stąd, że mieli zwyczaj nosić ubrania farbowane niebieskim barwnikiem, który był jednak nietrwały, co sprawiało, że często ich twarze i ciała były poplamione niebieską farbą.

Wbrew postanowieniu, że będzie sprzeciwiać się Tyrone'owi w każdy możliwy sposób, i w odniesieniu do wszystkiego, co robił Tyrone, będzie stale demonstrować, jeżeli nie wrogość, to przynajmniej całkowitą obojętność, Nevada nie mogła opanować ciekawości, niesłuchanie zaintrygowana błękitnymi nomadami oraz ich wielbładami.

Siodła zwierząt były przystrojone frędzlami, zdobione poza tym bursztynami oraz barwnymi kamieniami, które, jak się domyślała, były kawałkami porcelany.

Miała mało czasu, aby przyglądać się, bo po chwili Tyrone wskazał ręką na wielbłąda z przytroczoną do grzbietu lektyką, w której, jak się domyślała, miała podróżować.

Jeden z błękitnych nomadów pomógł jej wejść do lektyki, odwracając wzrok od jej twarzy, mimo że i tak nie można było niczego dostrzec z wyjątkiem oczu.

Potem, gdy Nevada trzymała się kurczowo poręczy tego dziwnego fotela, wielbłąd podniósł się niezdarnie na nogi. Wkrótce uformowała się długa karawana.

Na czele karawany, na koniu, jechał Tyrone Strome, pozostali mężczyźni jechali za nim na osłach lub szli prowadząc wielbłądy uginające się pod ciężarem jakichś bagaży i paczek.

Nevadę niesłychanie dręczył fakt, że nie miała pojęcia, dokąd zmierzają. Żałowała teraz, że wtedy, gdy pierwszy odezwał się do niej informując, że wkrótce opuszczą jacht, nie zadała mu więcej pytań.

Było jasne, że znajdowali się na pustyni, tyle że była to pustynia pozbawiona piasku.

Tak naprawdę był to płaski, kamienisty, jałowy ląd bez śladów jakiegokolwiek roślinności.

Miał w sobie jednak intrygujące piękno, ponieważ odcienie gruntu zmieniały się stopniowo przechodząc od barwy zimnoszarej do miedzianej, od miedzianobrazowej do czystej ochry.

Czuła niezmierną przestrzeń i ogrom rozpościerającego się nad nią nieba.

Podróżowali przez prawie dwie godziny. Przez ten czas nie zauważyła istotnych różnic w krajobrazie pustynnym, z wyjątkiem rzadkich momentów, gdy w oddali można było dostrzec niewielkie zabudowania, co znaczyło, że mijali właśnie kasbah.

Mijane zabudowania były bardzo małe. Różniły się tylko barwą, budowano je bowiem z ziemi, na której stały.

Ten, który teraz mijali, otoczony paroma palmami i drzewami owocowymi, miał barwę jasnobrazową o odcieniu kawy z mlekiem.

Lecz Tyrone Strome, rzecz jasna, nie zamierzał zatrzymać się. Posuwali się więc wolno i wytrwale wciąż dalej i dalej. Nevada kołysała się przy każdym kroku wielbłąda i dziękowała w głębi duszy, że nie dostała jeszcze choroby morskiej.

Nagle, niespodziewanie, Tyrone Strome podniósł rękę i karawana zatrzymała się.

Nevada zdziwiła się.

Okolice nie zmieniała się, wydawało się, że dojechali donikąd.

Obróciwszy konia, Tyrone cofnął się i, jadąc wzdłuż karawany, podjechał do Nevady.

Wydał ostre polecenie po arabsku.

Mężczyzna prowadzący wielbłąda krzyknął coś, a zwierzę w odpowiedzi powoli, pomrukując, opuściło się na kolana.

Nevada spojrzała pytająco na Tyrone'a Strome'a.

- Zejdź - rozkazał.

W zdumieniu, zadowolona jednak, że choć przez chwilę uwolni się od kołysania lektyki, podtrzymywana przez poganiacza wielbłądów, zeszła na piasek.

Miała na sobie wsuwane buty, przypominające kaptcie, ozdobione złotym haftem. Ich podeszwy były bardzo cienkie, więc kamienie raniły jej stopy.

Zrobiła niepewnie parę kroków w nadziei, że nie będzie musiała iść daleko. Tymczasem Tyrone zeskoczył z konia i zaczął iść obok niej.

- Chcę ci coś pokazać.

Spojrzała na niego zaskoczona. Gdzie okiem sięgnąć nie było nic.

Przeszli kawałek drogi oddalając się od karawany i doszli do miejsca, gdzie było coś w rodzaju kopca, usypanego z ziemi.

Gdy zbliżyli się jeszcze bardziej, Nevada, nadal zaprzątnięta obolałymi stopami, zauważyła leżące na ziemi białe kości i czaszkę.

Tyrone zatrzymał się.

- Kiedyś myślałaś, że byłoby interesujące zobaczyć martwego człowieka - powiedział. - Tu właśnie leży martwy człowiek. Został kiedyś zamordowany, jego szczątków do tej pory nie pogrzebano, ponieważ mauretańskie zwyczaje



zakazują grzebania ofiary, dopóki zbrodnia nie zostanie pomszczona.

Nevada wzięła głęboki oddech.

Patrzyła na szkielet zamordowanego człowieka. Sępy wyszarpały mięso spośród kości a bezwargie usta w czaszce o pustych oczodołach zdawały się uśmiechać.

Obok czegoś, co kiedyś było ciałem człowieka, teraz spalonym przez słońce i pożartym przez sępy, po którym pozostały tylko strzępy djellaby i turbana, leżały kości palców.

Jeszcze raz zaczerpnęła powietrza i odwróciła się, lecz Tyrone Strome chwycił ją za rękę i przytrzymał mocno.

- Chcę, byś przyjrzała się temu człowiekowi - powiedział twardo z odcieniem pogardy. - Pomyśl o tym, jaki był, może młody i męski, pełen optymizmu, być może ambitny i co bardzo prawdopodobne zakochany. Przyciągnął Nevadę jeszcze bliżej i powiedział:

- Teraz jest martwy. Patrz, co po nim zostało.

- Puść... mnie!

Próbowała wyrwać się z jego uścisku, lecz zdała sobie sprawę, jak była bezsilna.

- Sądziłaś, że myśl o śmierci jest zabawna - ciągnął Tyrone Strome. - Moim zdaniem śmierć jest tylko tragiczną stratą, zwłaszcza gdy przychodzi za wcześnie! To okrutne, gdy jakiś młody człowiek musi umrzeć z powodu chciwości napastnika czy też bezwzględności kobiety.

Nevada zamknęła oczy.

Nie mogła znieść widoku szkieletu. Surowa krytyka Tyrone'a była równie potworna jak odarte z mięsa kości i puste oczodoły, z których niegdyś oczy zmarłego ciekawie spoglądały na świat.

Nagle poczuła się słabo. Zachwiała się nieco. Na szczęście, Tyrone domyślił się, co się z nią dzieje. Zwolnił

uścisk dłoni, a Nevada nie mogąc dłużej znieść widoku szkieletu potykając się odeszła w kierunku wielbłądów.

Ktoś pomógł jej wsiąść do lektyki, a gdy ruszyli dalej i Tyrone Strome wrócił na czoło karawany, by wskazywać drogę, uniosła dłonie do oczu i zakryła twarz.

Czy naprawdę sztydziła ze śmierci? Czy naprawdę prowokowała Davida, by popełnił samobójstwo?

Wydawało się, że to było tak dawno temu. Teraz zdawała sobie sprawę, że gdyby odebrał sobie życie, nigdy nie byłaby w stanie ani sobie tego wybaczyć, ani o tym zapomnieć.

Karawana posuwała się kolejną już godzinę. Gdy dojechali do miejsca, gdzie rosło kilka palm, ponownie zatrzymali się.

Gdy zsiadła z wielbłąda, wiedziała już, że dojechali do oazy. Słońce paliło mocno, odczuła więc ulgę na widok chłodnego cienia pierzastych gałęzi.

Woalka na twarzy nagrzała się mocno, pragnęła więc ją odsunąć na bok. Tylko strach przed tym, jak zareaguje Tyrone, powstrzymał ją przed tym.

Zauważyła, że jeden z poganiaczy zdjął z wielbłąda jaskrawy kilim i położył go z drugiej strony oazy. Gdy podszedł do niego Tyrone, domyśliła się, że było to przygotowane dla niego miejsce odpoczynku.

Czekała, zastanawiając się, dokąd ma iść, gdy nagle odwrócił się i skinął na nią, by podeszła.

Ponieważ była bardzo spragniona, podeszła skwapliwiej niż zrobiłaby to w innej sytuacji.

W końcu, pomyślała, tu, w samym środku pustyni, nie będzie chyba musiała przyrządzać sobie posiłku.

Tyrone usiadł na dywaniku.

Usiadł ze skrzyżowanymi nogami tak jak ludzie. Wschodu. Nevada chciała pójść jego śladem, lecz okazało się,

że kaftan był na to zbyt wąski, mogła więc tylko uklęknąć wspierając się na piętach.

Ustawiono przed nimi jedzenie, służący przyniósł bukłak wypełniony wodą.

Nalano do kubków i choć pragnęła wypić natychmiast, pomyślała, że zdjęcie woalki w obecności służącego będzie nie na miejscu. Czekwała więc.

W końcu obsługujący ich mężczyźni odeszli na drugą stronę oazy. Mimo że znajdowali się daleko, usiedli, podobnie zresztą jak poganiacze wielbłądów i pozostali uczestnicy karawany, tyłem do Tyrone'a i Nevady, by uszanować prywatność swego pana.

- Teraz możesz się napić - rzekł Tyrone Strome. Woda była nieco słona w smaku, ale w tej chwili wypiłaby wszystko, co tylko można byłoby zaliczyć do płynów.

- Dobrze się czujesz?

Po raz pierwszy wykazał troskę o nią. Chyba miał na myśli jej reakcję na widok szkieletu człowieka albo sądził, że może czuć się źle ze względu na sposób podróżowania.

- Czuję się dobrze - odparła. - Dokąd jedziemy?

- Zatrzymamy się na noc w kasbahu należącym do jednego z najbogatszych szejków w południowym Maroku. Dla ciebie może to się okazać niezbyt wygodne, ponieważ zatrzymasz się w komnatach dla kobiet.

Nevada spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Czy masz na myśli... harem?

- Harem marokański różni się dość znacznie od tureckiego - odparł Tyrone Strome - ale nie wydaje mi się, byś była w stanie zrozumieć tę różnicę.

Nevada milczała.

Nagle poczuła większy niepokój niż kiedykolwiek przedtem. Przerazała ją myśl, że znajdzie się w obcym miejscu, o którym nic nie wiedziała, i gdzie nie będzie

stanowiła żadnej wartości oprócz faktu, że była własnością Tyrone'a Strome'a.

Jakby zgadując jej myśli, rzekł:

- Wprawdzie zatrzymamy się tylko na jedną noc, ale wizyta ta jest dla mnie bardzo ważna. Zamierzam bowiem spotkać się nie tylko z szejkiem Hassamem El Zigli, u którego się zatrzymamy, lecz też z innymi szejkami oraz kaidami z sąsiedztwa.

- Po co się z nimi spotykasz? - dopytywała Nevada. Zastanawiała się, czy udzieli jej prawdziwej odpowiedzi, i czy miało to związek z tajną dyplomacją. Ku jej zaskoczeniu Tyrone Strome odpowiedział:

- Piszę książkę.

- Książkę?!

Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

- Jesteś zaskoczona? - zapytał. - Maroko zawsze było krajem zagadkowym: mało o nim wiadomo, a jeszcze mniej o ludziach, zamieszkujących ten kraj.

Nevada wpatrywała się w niego. Wbrew niej samej bardzo ją to zaciekało. Nie chciała go jednak spłoszyć, obawiając się, że przestanie opowiadać.

- Prawie osiemdziesiąt sześć procent populacji marokańskiej wywodzi się od arabskich lub berberyjskich plemion - mówił Tyrone Strome. - Sami zaś Berberowie stanowią wspaniałą, starożytną i tajemniczą rdzeń populacji północnej Afryki.

Uśmiechnął się jakby do romantyzmu swych słów i kontynuował:

- Nie są to narody ani śródziemnomorskie, ani negroidalne, ani też semickie. Tak naprawdę, sam Bóg chyba tylko wie, skąd pochodzą.

- To o nich właśnie piszesz?

- Trudno jest dotrzeć do wszystkich informacji, potrzebnych do napisania tej książki. Narody te od zamierzchłych czasów mieszkają w północnej Afryce, przeważnie w górach. Faraonowie egipscy nazwali to tajemnicze dla nich plemię, Lebu; Grecy, dla których to plemię również stanowiło zagadkę, zwali ich nomadami. Nikt nawet nie wie skąd pochodzi słowo Berber.

- Fascynuje cię ten naród?

- Tak, to prawda, naród ten mnie zafascynował - odparł Tyrone Strome. - Jest on zupełnie nie skażony cywilizacją.

Roześmiał się.

- Gdzież bowiem w dzisiejszym świecie można znaleźć naród, w którym niewolnictwo jest uważane za rzecz samą przez się zrozumiałą, gdzie mężczyźni przygotowują się do życia ucząc się posługiwania mieczem i sztyletem, a kobiety są tak czyste i posłuszne?

Ostatnie dwa słowa zawierały aluzję, która pozwalała jej sądzić, że z niej kpi, jednak teraz, o dziwo, nie sprawiało jej to przykrości.

- Proszę mówić dalej - poprosiła.

- Zobaczysz, że ten świat wart jest tego, by poświęcić mu swój czas, wart jest odkrycia - powiedział. - Lecz jeżeli mamy dotrzeć do miejsca przeznaczenia o przewidzianej porze, proponuję, byś jadła trochę szybciej.

Była nieprawdopodobnie głodna, posłuchała go więc natychmiast i dalej już kończyli posiłek w milczeniu.

Miała przecucie, i tak w istocie było, że to był ostatni europejski posiłek, i że nieprędko będzie miała okazję ponownie skosztować takiego jedzenia. Zastanawiała się, co też jej przyniesie przyszłość.

Gdy skończyli jeść, natychmiast wyruszyli w dalszą drogę. Krajobraz zmieniał się, ziemia stawała się coraz bardziej skalista i nierówna.

Nagle dostrzegła widniejące w oddali olbrzymie, ufortyfikowane miasto.

Przyglądała się zdumiona ogromem konstrukcji, otoczonej wałami obronnymi różnej wysokości i wielkości.

Górujące na niewielkim wzniesieniu budynki otoczone były wysokimi wałami obronnymi, z których gdzieniegdzie wystawały masywne wieże.

W miarę jak karawana zbliżała się, miasto wydało się jeszcze większe i bardziej imponujące. Nevada pośpiesznie starała się przypomnieć sobie wszystko, czego na jachcie dowiedziała się o kasbahach

W którejś z książek czytała, że były podobne do ogromnych, średniowiecznych zamków. Mieszkali w nich wodzowie pustynnych plemion wraz ze wszystkimi swoimi zausznikami, poddanymi oraz tymi, którzy byli im winni posłuszeństwo.

Oprócz ludzi w kasbahu znajdowały schronienie również należące do niego zwierzęta: krowy, kozy, owce, osły, muły i kury.

W ciągu dnia zwierzęta wyprowadzano na pastwiska, skąd dopiero wieczorem wracały przez główną bramę do kasbahu, gdzie przebywały bezpiecznie aż do świtu.

Kasbah stanowił pewnego rodzaju małe księstwo. Był samowystarczalną posiadłością ziemską dostarczającą większości produktów codziennego użytku, może z wyjątkiem herbaty, kawy i cukru.

Tyrone podjechał do olbrzymich, drewnianych drzwi, nabijanych mosiężnymi ćwiekami. Po chwili otworzyły się i wybiegło do nich na powitanie kilku mężczyzn, ubranych w białe szaty.

Gdy wjechali do kasbahu, Nevada dostrzegła szereg krętych kruzganków, z których rozpościerał się widok na dziedzińce i fontanny.

Poruszali się w labiryncie krętych pasaży, pełnych mężczyzn, dzieci i zwierząt, aż wreszcie dojechali do centrum kasbahu, gdzie mieszkał sam szejk.

Nevada zsiadła z wielbłąda i rozejrzała się.

Podążyła za Tyrone'em Strome'em przez misternie rzeźbione drzwi i znalazła się we wspaniałym pałacu.

Po widoku zewnętrznej części kasbahu, skromnej, posępnej i bez okien, zaskakiwał i zdumiewał widok podłóg ułożonych z pięknej delikatnej mozaiki oraz ścian, pokrytych rzeźbionymi arabeskami albo wyłożonych kafelkami malowanymi w zawiłe wielobarwne wzory.

Rzeźbione w drewnie sufity też były bogato malowane. Sale oddzielały kolumny zwieńczone rzeźbionymi kapitelami. W każdej komnacie znajdowały się przepiękne azurowe parawany.

Wielokolorowe dywany sprowadzane z gór Atlasu pokrywały podłogi, na których gdzieś można było dostrzec haftowane jedwabiem, czerwone, zielone, białe i żółte skórzane klęczniki z kozłej skóry.

Z sufitów zwisały srebrne świeczniki. Rozejrzała się dookoła. Miejsce to było przesycone aurą tajemniczy Wschodu, której nie była w stanie nawet opisać.

Szejk Hassam El Zigli, mężczyzna w podeszłym wieku z białą brodą i z przytroczonym do ozdobionego klejnotami pasa sztyletem, również wysadzany drogocennymi kamieniami, podszedł pośpiesznie, by przywitać Tyrone'a Strome'a zachowując wszelkie oznaki należnego gościowi szacunku.

Zignorował Nevadę stojącą tuż za Tyrone'em i dopiero po krótkiej rozmowie, w której Tyrone najwidoczniej wspomniał o niej, dostrzegł jej obecność i pstryknął palcami.

Pojawił się służący dając znak, by Nevada udała się za nim.

Opuszczając Tyrone'a Strome'a i zanurzając się w ogromnym labiryncie, będącym półpałacem i na półslamsem, nagle poczuła lęk.

Potem uświadomiła sobie, że jeśli okaże choć najmniejszy strach, Tyrone będzie pogardzał nią jeszcze bardziej niż dotychczas.

Nie patrząc więc na niego podążyła za służącym. Znowu szła długimi kruzgankami wijącymi się bez końca, przez co droga wydawała się dłuższa niż w rzeczywistości.

W końcu podeszli do kolejnych, olbrzymich drzwi, rzeźbionych i zdobionych w stylu mauretańskim. Służący zapukał.

Otworzyła je zawołowana kobieta. Nevada chociaż nie zrozumiała, co powiedziała, domyśliła się, że przedstawiła się.

Potem skinęła, by Nevada weszła. Gdy drzwi zatrzasnęły się za nią, poczuła się tak samotnie jak jeszcze nigdy w życiu.

Kobieta mówiła coś do niej, a Nevada tylko kiwała głową. Potem poprowadziła ją kolejnym pasażem, aż doszły wreszcie do dużej komnaty, w której było kilka kobiet.

Siedziały bez woalek, na barwnych dywanach i na niskich sofach przykrytych czerwonym aksamitem.

Niektóre były młodziutkie, ale większość z nich była już w podeszłym wieku, miały pomarszczone twarze i siwiejące włosy.

Wszystkie nosiły mnóstwo biżuterii, były więc prawdopodobnie krewnymi szejka. Wszystkie kobiety, jak wyczytała w jednej z książek, mieszkały w oddzielnej, kobiecej części kasbahu.

Zdjęły z niej haik, a gdy zobaczyły jej kaftan, najwyraźniej wzbudził ich zainteresowanie.

Niektóre z kobiet też miały na sobie, podobnie jak ona, haftowane kaftany, inne znów przepiękne narzutki mansouriah, wierzchnie tuniki z cienkiego tiulu.



Kobieta ubrana w taką tunikę wyglądała, jakby była otulona kolorową mgiełką.

Jedna z siwiejących już kobiet dała znak Nevadzie, by usiadła przy niej na sofie, a jedna z młodszych, ubrana bardzo skromnie, chyba niewolnica, przyniosła szklanekę herbaty miętowej.

Herbata była gorąca i słodka, Nevada nie знаła innego napoju, który by lepiej gasił pragnienie.

Gdy tylko wypila, ponownie napełniono jej szklanekę; teraz popijała już wolniej, rozglądając się wokół i myśląc o tym, że niewiele kobiet z Zachodu miało sposobność doświadczyć tak niezwyklej przygody, jaką była wizyta w haremie.

Kobiety, porozumiewając się z nią na migi, podziwiała biżuterię, prezentując równocześnie swoje klejnoty.

Niektóre z nich miały na sobie bardzo ciężkie bursztynowe naszyjniki, inne znów złotą lub srebrną biżuterię wysadzaną ogromnymi ametystami przywiezionymi wprost z gór Atlasu, turkusami, koralami oraz innymi klejnotami, których Nevada nawet nie znała. Domyślała się, że wydobywano je gdzieś w okolicy.

Było tyle rzeczy, o których chciała wiedzieć, tyle spraw, o które chciała zapytać.

Żałowała teraz, że wtedy, gdy płynęła jachtem, zamiast walczyć z Tyrone'em, nie nauczyła się choć paru słów po arabsku.

Gdy była już zmęczona rozmową na migi i wyczerpała cały repertuar min, weszła kobieta z małym dzieckiem na ręku.

- Vouz parlez francais? - zapytała, czy Nevada rozumie po francusku, przeciągle wymawiając słowa z silnym akcentem, co sprawiało, że nawet jej francuski był trudny do zrozumienia.

- Oui, oui - pośpiesznie potwierdziła Nevada. Kobieta posługiwała się bardzo ograniczonym zasobem słów francuskich i wymawiała je tak niewyraźnie, iż chwilami w ogóle trudno było zrozumieć, co mówiła. Mimo to jakoś udawało im się porozumieć.

Nevada dowiedziała się więc, że starszymi kobietami były: matka, babka, siostry i ciotki szejka - co zresztą zgadzało się z jej przypuszczeniami.

Szejk miał cztery główne żony, których posiadanie dopuszczała religia, oraz kilka młodych dziewczyn, konkubin.

Miały jasną karnację, barwy nieco ciemniejszej niż słabo zabarwiona kawa z mlekiem, doskonałe rysy twarzy, subtelne i niesłychanie intrygujące. Włosy miały czarne, długie i jedwabiste. Wszystkie, jak szybko pojęła Nevada, nosiły się po królewsku, co z pewnością zwróciłoby na nie uwagę w każdym zakątku świata. Dwie spośród nich były tak piękne, że z pewnością odniosłyby sukces w Nowym Jorku czy też w Londynie.

Miały ogromne czarne oczy, małe nosy i pełne, pięknie zarysowane usta. Ich powaga i pewność siebie zdumiewały Nevadę.

Nie chichotały zażenowane jak uczennice w Nowym Jorku, nie wyglądały na zawstydzone ani nie przyglądały jej się prostacko, jak mogła tego oczekiwać.

Uśmiechały się czarująco i przyjaźnie. Gdy wreszcie zasiadły razem do posiłku, Nevada nie czuła już lęku.

Porozsiadały się na sofach i na dywanach, po czym niewolnice podały wszystkim zupę, znaną pod nazwą harira.

Potrawa składała się z kurczaka, suszonej baraniny, włoskiego grochu, pietruszki, imbiru, cebuli i szafranu, gotowanych razem, do których dodawano ryż i zaprawiano przyprawami korzennymi.

Potem dodawano jeszcze pomidory, chleb drożdżowy i jajka.

Dwie czarki hariry były bardzo sycące, zwłaszcza że po nich nastąpiły, jak nakazywała tradycja mauretańska, słodkości składające się głównie z miodu i migdałów. Były po prostu przepyszne.

Po jedzeniu podano znów herbatę miętową. Gdy tylko skończyły pić, kobiety nagle zerwały się. Zaraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przyniesiono ich lithamy; zakładały je teraz pośpiesznie, zasłaniając twarze.

Nevada spojrzała pytająco na kobietę mówiącą po francusku.

- Tańce - wyjaśniła. - Idziemy oglądać tańce.

- Gdzie? - dopytywała się Nevada.

Zbyt trudno było jej to jednak wyjaśnić, chwyciła więc po prostu Nevadę za rękę i pociągnęła korytarzem w ślad za pozostałymi.

Wkrótce znalazły się na tarasie otoczonym białą okratowaną balustradą, która otaczała wszystkie boki ogromnego, otwartego dziedzińca.

Niżej na sofach siedzieli, ubrani w białe stroje, szejkowie, opierając stopy na jaskrawych kobiercach. Pośród nimi, z prawej strony gospodarza siedział Tyrone Strome!

Wygląda bardzo dostojnie i wyniośle, pomyślała Nevada. Widać było, że w najmniejszym stopniu nie czuje się skrepowany.

Dziedziniec oświetlały od góry gwiazdy, gęsto rozsiane na niebie, a od dołu dwa rozniecone ogniska, w których płonęły liście palmowe.

Nagle Nevada poczuła, jak ogarnia ją fala buntu i oburzenia. Dlaczego traktowana jest w taki sposób? Jak Tyrone Strome śmiał zmuszać ją, białą kobietę, bogatą,

wpływową i znaną w wielkim świecie Amerykankę, by zerknęła na świat zza krat parawanu!

Nie zastanawiając się nad konsekwencjami swojego czynu ściągnęła litham i pobiegła, najpierw wzdłuż tarasu do samego końca, a potem po kilku stopniach w dół, prosto na dziedziniec.

Biegła chwilę przez pustą przestrzeń dziedzińca w stronę siedzących szejków. Stała na wprost nich, płomienie ognisk połyskiwały na jej rudych włosach i odbijały się w gniewnych oczach.

- Messieurs - krzyknęła głośno po francusku, a gdy zdumione twarze wszystkich szejków zwróciły się w jej kierunku, ciągnęła dalej, również po francusku:

- Zostałam tu przywieziona wbrew mojej woli. Jeżeli ktoś odwiezie mnie do najbliższego, brytyjskiego lub francuskiego, konsulatu, otrzyma w nagrodę tyle pieniędzy, ile tylko zażąda!

Przerwała, szejkowie wpatrywali się w nią. Przecież musieli zrozumieć, co powiedziała - pomyślała.

- Jestem bogata... bardzo bogata - ciągnęła. - Pomóżcie mi proszę... pomóżcie.

Głos jej rozległ się po dziedzińcu i zamarł. Czekala.

Szejk Hassam odwrócił się, by porozmawiać z siedzącym przy nim Maurem, inny brodaty szejk, siedzący z lewej strony Tyrone'a Strome'a, odchylił się do tyłu i szepnął mu coś do ucha.

Nevada patrzyła to na jednego, to na drugiego. Z pewnością, pomyślała, któryś z nich pospieszy jej z pomocą.

Potem przemówił Tyrone; po angielsku.

- Nikt cię nie rozumie - rzekł chłodno. - Oni mówią wyłącznie po berberyjsku. Lecz dżentelmen siedzący obok mnie, zaoferował za ciebie wielbłąda i cztery owce. Powiedział, że lubi kobiety z charakterem, ponieważ znajduje przyjemność wybijając go z nich.

Czuła, jak wali jej serce. Spojrzała z niechęcią na Tyrone'a.

- Czy mam zaakceptować jego propozycję? - zapytał. - W tej części świata to całkiem dobra cena za kobietę.

- Jak śmiesz!

Przez chwilę Nevada zapomniała o szejkach, o tym, gdzie się znajduje i o wszystkim, z wyjątkiem Tyrone'a i trwającej między nimi wojnie.

- Decyzja należy do ciebie! - nalegał. - Mnie jest to obojętne.

Wzięła głęboki oddech. Przeraziła ją myśl, że może rzeczywiście oddać ją szejkowi i wtedy naprawdę będzie zgubiona.

Jeszcze przez chwilę duma powstrzymywała ją na tyle, że stała nieruchomo wpatrując się w niego oczami płonącymi z gniewu. Potem poddała się. Krzyknęła z rozpacz, odwróciła się i wybiegła z dziedzińca.

Wbiegając po schodach słyszała, jak szejkowie śmieją się.

Gdy wróciła na taras i dołączyła do kobiet, te patrzyły na nią z przerażeniem. Zbyt jednak dobrze wychowane, by ją wprawiać w zakłopotanie, skupiły się zaraz na tym, co się działo na dziedzińcu.

Wokół rozbrzmiewała muzyka. Nevada zauważyła, że kobiety zmieniły miejsca; teraz siedziały na górnym tarasie nad lożą dla szejków.

Po drugiej stronie dziedzińca rozsiadło się ze dwudziestu muzyków. Grali na bębnach i piszczałkach oraz bendirach, czymś w rodzaju tamburynów.

Muzyka była głośna i rytmiczna. Po chwili na sam środek dziedzińca weszło kilka tancerek.

Ubrane były w muśliny i jedwabie, miały też na sobie , mnóstwo biżuterii.

- To tancerki tizneckie - szepnęła Nevadzie kobieta mówiąca po francusku. - Najślawniejsze i najdoskonalsze ze wszystkich tancerek afrykańskich.

Nevada przypomniała sobie, że w jednej z książek Tyrone'a Strome'a czytała o tych tancerkach. Podobno przewyższają umiejętnościami wszystkie inne tancerki i słyną ze zmysłowych, egzotycznych ruchów ciała.

Teraz, na dziedzińcu, tancerki zaprezentowały taniec, który najbardziej przypominał turecki taniec brzucha. Dziewczęta stały nieruchomo, a ich ciała wibrowały.

Zółte światło ognisk sprawiało, że ich sylwetki rzucały na dziedziniec ogromne czarne cienie, co nadawało przedstawieniu osobliwy i niemal złowieszczy wyraz.

Nagle, gdzieś z głębi dziedzińca, rozległ się wysoki, cienki śpiew zmieszany z muzyką.

Taniec skończył się. Tancerki utworzyły półkrąg, a do środka weszła dziewczyna, której widok zaparł dech w piersi Nevady.

Była młodziutka, o doskonałej figurze, miała długie włosy rozpuszczone na plecach, przykryte błękitną tiulową woalką ozdobioną klejnotami.

- Tańczy guedre - szepnęła do ucha Nevady kobieta mówiąca po francusku.

Tancerka uklękła, oczy miała zamknięte. Rozpoczęła taniec od wirowania nadgarstkami. Potem wirowanie stopniowo przenosiło się na ramiona, szyję, głowę, tors, biodra, by w końcu objąć całe jej ciało.

Wyglądało to tak, jakby jakiś wewnętrzny płomień stopniowo przenikał ją, rosnąc, rozprzestrzeniając się, aż w końcu pochłonął ją bez reszty.

W tańcu błękitne tiule ześliznęły się z jej ciała; Nevada spostrzegła, że tancerka była naga aż do pasa!

Tańczyła w zapamiętaniu, poddając się żywiołowo rytmowi muzyki każdym ruchem giętkiego ciała. Była kwintesencją zmysłowości.

Nevada mogła tylko patrzeć z zachwytem, jak tancerkę coraz bardziej pochłania taniec. Poruszając się coraz szybciej, wykonując rękami węzowe ruchy, z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi ustami, osiągnęła w końcu stan najwyższego uniesienia.

Była fascynującą, zmysłową, zachwycającą; zauroczyła nie tylko szejków, lecz również przyglądające się jej kobiety. Były jak zahipnotyzowane, z przyspieszonym oddechem poruszały się w rytm muzyki i uderzeń bębna.

W końcu tancerka osiągnęła punkt kulminacyjny, opadła na ziemię i zamarła. Bębny ucichły; w ciszy, która nastąpiła, można było usłyszeć bicie serca.

Przez jakiś czas wszyscy, oczarowani, siedzieli nieruchomo, aż wreszcie szejk Hassam El Zigli skinął na tancerki, by podeszły.

Dziewczęta podbiegły do szejków, każda z nich upadła do stóp wybranego przez siebie szejka i z opuszczonymi głowami i rękami złączonymi razem, trwały w tradycyjnym geście bezgranicznego posłuszeństwa.

Dziewczyna tańcząca guedrę otworzyła oczy. Wtedy podszedł do niej szejk, wziął ją za rękę, pomógł wstać i poprowadził w kierunku Tyrone'a Strome'a.

Nevada widziała, jak Tyrone na nią spojrział, widziała uśmiech na jego ustach i przerażona, czując głęboką odrazę, odwróciła głowę!

## Rozdział 5

Siedząc w lektyce na grzbiecie wielbłąda i kołysząc się w rytm jego kroków Nevada zastanawiała się, czy uda się jej zasnąć.

Była potwornie wyczerpana, w nocy nie mogła usnąć, przewracała się z boku na bok. Przeszkadzało jej to, że musiała spać w jednym pokoju z innymi kobietami.

Cały czas miała przed oczami tancerkę wirującą w egzotycznym tańcu guedry.

Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, że taniec może być tak zmysłowy, prowokujący, wręcz hipnotyzujący.

Jeszcze długo po powrocie do komnat kobiety były pod jego wrażeniem, wzruszone muzyką i fascynującym punktem kulminacyjnym guedry.

Najmłodsza żona szejka zalewała się łzami, ale nie z powodu wzruszenia, lecz jak wyjaśniono Nevadzie, z zazdrości.

- Ona kocha naszego pana - szepnęła Nevadzie kobieta mówiąca po francusku - a od dwóch czy też trzech dni, od chwili gdy zjawiły się tu tancerki, nie posłał po nią ani razu.

Zdumiało Nevadę to, że czwarta żona szejka, tak pociągająca i nie mająca więcej niż osiemnaście lat, mogła kochać go tak mocno.

Potem uświadomiła sobie, że przecież był jedynym mężczyzną, którego w ogóle знаła, nie miała więc wyboru.

Wkrótce wszystkie kobiety zasnęły, a Nevada wciąż nie mogła przestać myśleć o Tyronie i o tym, w jaki sposób uśmiechał się do tancerki.

Zupełnie jakby znajdował się blisko, tak wyraźnie widziała jego twarz zarysowaną w ciemnościach, ruch jego warg i płomienny blask w oczach.

Matka szejka dołożyła wszelkich starań, by było jej wygodnie, przydzielając honorowe miejsce na matelas, czyli



pokrytym aksamitem materacu wspartym na długich, drewnianych podnóżkach.

Rzeczywiście było wygodnie, lecz Nevada nie mogła zasnąć. Gdy nastał poranek, miała podkrążone oczy i była bardzo wyczerpana.

Obudzono ją wcześniej, niewolnica poinformowała ją, że Tyrone Strome zamierza wyruszać zaraz po wschodzie słońca.

Nevadę poruszyła niezwykła czułość, z jaką żegnały ją matka szejka oraz pozostałe kobiety.

Kobieta mówiąca po francusku przekazała w ich imieniu życzenia dobrej podróży. Wyrażały także nadzieję, że Nevada odwiedzi je ponownie.

Potem, odprowadzana życzliwymi słowami i po charakterystycznych gestach pożegnania - następujących po sobie dotknięciach czoła, ust i piersi - Nevada podążyła za służącą wzdłuż krętych pasaży do tej samej komnaty, w której witał ich szejka tego dnia, gdy przyjechali.

Wejście jej nie zwróciło niczyjej uwagi, ani szejka, ani Tyrone'a; nie oczekiwała zresztą, by miało być inaczej.

Tyrone Strome spojrział tylko na nią i dał znak, by podążyła za nim. Na zewnątrz stały przygotowane do drogi zwierzęta - koń i wielbłąd.

Reszta karawany dołączyła do nich przy bramie wyjazdowej z kas banu, po czym odjechali wśród głośnych pożegnań służby szejka i krzyku podnieconych dzieci, które biegły za nimi aż do miejsca, gdzie zaczynała się pustynia.

Kiedy wyruszali, wiał chłodny wiatr, który jednak zamarł, gdy tylko wzeszło słońce i z każdą godziną podróży wzrastał się upał.

Wkrótce znaleźli się w okolicy bardzo różniącej się od tej, którą dotychczas przemierzali.

Po obu stronach wąskiej kamienistej kotliny sterczały ogromne skały, a środkiem wiała się w górę wąska ścieżka, po

której się właśnie wspinali. Wokół widać było tylko wyschnięte wąwozy i pokruszone granitowe zbocza, upstrzone gdzieś tam wejściami do jaskiń.

Przemierzyli płytką rzekę Souss z niewielką ilością wody, sącząca się pomiędzy skalnymi głazami. Wkrótce dotarli do gorących i nagich wzgórz, wśród których rosły tylko specyficzne dla tych rejonów arganie, zwane też drzewami żelaznymi.

Jednostajny, monotony ruch sprawiał, że powieki Nevady opadały sennie. Drzemała, gdy nieoczekiwanie karawana zatrzymała się.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że znajdowali się w skalistym wąwozie, z wielkimi granitowymi urwiskami skalnymi sterczącymi po obu stronach.

Potem zobaczyła Tyrone'a Strome'a. Do tej pory jechał daleko z przodu na czele karawany, teraz zaś pośpiesznie galopując na koniu wycofywał się na tył karawany. Mijał kolejno wielbłądy i osły, aż w końcu zatrzymał się przy wielbłądzie Nevady.

Wydał poganiaczowi ostre polecenie, a ten z kolei krzyknął na wielbłąda, by opadł na kolana.

Powoli, pomrukując, zwierzę posłusznie wykonało polecenie, po czym Tyrone Strome zwrócił się do Nevady:

- Schodź, szybko!

Patrzyła na niego zaskoczona. Potem pomyślała, że pewnie znowu chce jej pokazać coś nieprzyjemnego, tak jak poprzedniego dnia, gdy pokazał szkielet człowieka na pustyni.

Chciała oponować, protestować, ale już wydawał szybkie polecenia poganiaczowi, więc zanim zdążyła zareagować, ten zdejmował już lektykę z grzbietu wielbłąda.

Stojąc na nierównej, kamienistej ścieżce, Nevada patrzyła na Tyrone'a w zdumieniu. Zsiadł z konia i chwycił ją za rękę.

- Co się dzieje? - zapytała.

- Chodź ze mną! Później ci wyjaśnię.

Mówiąc to pociągnął ją za sobą tak szybko, że kamienie raniły jej stopy, osłonięte tylko cienką podszewką.

W pewnej chwili potknęła się wydając cichy okrzyk.

Wtedy zluźnił uścisk ręki i niecierpliwie, bez wyjaśnień, wziął ją na ręce.

Była zbyt zdumiona, by mówić. Wszedł się po zboczu urwiska, dopóki nie dotarł do kilku wielkich głazów, przy których ją posadził, sam zaś przyklęknął, by spojrzeć na kotlinę, gdzie w dole ciągnęła karawana.

Skierowała wzrok w tę samą stronę i zobaczyła, że poganiacz nie tylko zdjął lektykę z wielbłąda, ale też roztrzaskał ją na kawałki i właśnie rozrzucał jej szczątki za skałami, najwyraźniej zacierając ślady.

Gdy poganiacz skończył, krzyknął na wielbłąda, a ten podniósł się z kolan i karawana ponownie ruszyła wolno w drogę. Konia Tyrone'a, teraz z dużym pakunkiem na grzbiecie, prowadził mały chłopiec.

- Co się dzieje? Dlaczego nas zostawili? - zapytała nerwowo Nevada.

Nie mogła pojąć, co się dzieje ani też, dlaczego Tyrone Strome zachowuje się tak dziwnie.

Przez chwilę zdawało się jej, że nie ma zamiaru odpowiadać. Jednak po chwili rzekł stłumionym głosem:

- Zbliżają się do nas jacyś jeźdźcy.

- Jeźdźcy? - zapytała. - Jacy jeźdźcy?

- Nie wiem dokładnie, lecz wolałem nie ryzykować!

- Ale dlaczego? Czy sadzisz, że mogą nas zaatakować?

- Mogą to być ludzie szejka, tego, który chciał kupić cię wczoraj wieczorem - powiedział szorstko. - Biała kobieta stanowi niemałą atrakcję w tej części świata. Później w nocy podwyższył jeszcze cenę, którą był gotów zapłacić za ciebie.

W jego głosie słyhać było pogardę, co sprawiło, że Nevada zawstydzila się.

- Przepraszam... - mruknela.

- Mogą to być też tylko złodzieje, którzy zamierzają okraść karawanę - ciągnął. - W tej okolicy grasuje sporo band i może mieliśmy pecha natknąć się na jedną z nich.

Mówiąc to wyciągnął rewolwer spod zwojów białej szaty.

- Chcesz... walczyć z nimi?

- Jeżeli będę musiał. To będzie oznaczało rozlew krwi i śmierć, lecz bez wątpienia ciebie to zainteresuje.

Nevada spojrzala w dół na barwną karawanę sunącą między brązowymi skałami biegnącego w dole wąwozu.

- Proszę... nie mów tak więcej - poprosiła cichym głosem.

- Wystarczająco ukarałeś mnie już za to, co wtedy, bez zastanowienia, powiedziałam Davidowi.... Nigdy nie zapomnę... tego szkieletu na pustyni.

Po tonie jej głosu Tyrone Strome poznał, że mówiła szczerze. Ponieważ znajdowali się blisko siebie, poczuł jak na myśl o czasce z pustymi oczodołami i zbiełymi zębami, przeszył ją dreszcz.

Nie było czasu na odpowiedź, ponieważ właśnie w tej chwili, w odległym krańcu wąwozu, pojawiło się kilku jeźdźców, ubranych tradycyjnie w luźne szaty. Każdy z nich trzymał w dłoniach długą czarną strzelbę. Pogalopowali do czoła karawany, odchylając ciała mocno do tyłu. Był to arabski sposób galopowania zwany przez nich fantasia. Potem ich przywódca zaczął rozmawiać z przewodnikiem karawany.

Tyrone Strome przysłuchiwał się uważnie rozmowie. Nevada widząc wyraz jego twarzy, poczuła jeszcze większy lęk.

Prawie instynktownie przywarła do niego. Tyrone czuł, jak jej ciałem wstrząsa spazmatyczny dreszcz.

W prawej dłoni trzymał rewolwer. Objął więc Nevadę lewą ręką i, chociaż nie była pewna, czy to był gest obrony, czy tylko chciał uspokoić ją, by nie wykonała jakiegoś nieostrożnego ruchu, czuła dziwną przyjemność.

Nie ma sensu starać się w takiej sytuacji być kobietą niezależną - powiedziała sobie. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej, by nie widzieć, co się będzie działo, gdyby zaczęła się strzelanina.

Serce biło jej w piersi jak szalone. W każdej chwili mogła zobaczyć, tam w dole, w kotlinie, mężczyzn zastrzelonych przez jeźdźców, i Tyrone'a, zmuszonego włączyć się do walki.

Po wydaniu okrzyku, który był czymś pośrednim między rozkazem a okrzykiem zdenerwowania jeźdźcy ruszyli z ogromną prędkością wzdłuż wąwozu, kierując się w stronę kasbahu.

Nevada przytulona do Tyrone'a, poczuła, że się odprężył. Nie było to jednak westchnienie ulgi, lecz zwolnienie napięcia całego ciała.

- Odjechali - jej słowa zabrzmiały tylko nieco głośniejszym szeptem.

- Szukali ciebie - odparł. - Miałem rację. Szejk, który widział cię poprzedniej nocy bez lithamu, zapragnął mieć cię w haremie!

Nevada odetchnęła głęboko i powiedziała:

- Przepraszam... wybacz mi. Teraz zdaję sobie sprawę, jak byłam... głupia, zdejmując litham.

- To było nie tylko głupie, ale też nad wyraz niebezpieczne - odparł Tyrone Strome. - Chodź, zabieramy się stąd.

Pomógł jej wstać, po czym pospiesznie zeszli zboczem w dół do miejsca, gdzie czekała karawana. Chwilę rozmawiał z poganiaczami.

Po chwili, gdy już z siodła jego konia zdjęto pakunki, zwrócił się do Nevady:

- Ponieważ jeźdźcy szejka szybko się zorientują, że nie ma cię, jak teraz sądzą, w kasbahu, musimy podjąć ryzyko samotnego podróżowania bez żadnej eskorty.

Ponieważ Nevada patrzyła na niego pytająco, podniósł ją do góry i posadził w siodle.

Usiadła bokiem, jak kobiety Wschodu, a Tyrone wskoczył na konia siadając zaraz za nią. Objął Nevadę lewą ręką, prawą chwytając wodze.

Wydał przewodnikowi karawany parę kolejnych poleceń. Nevada domyśliła się, że kazał im jak najszybciej dojechać do miejsca przeznaczenia.

Potem popędził konia i ruszyli galopem po szorstkich kamieniach. Wyjechali z wąwozu na nierówny, kamienisty grunt rozpościerający się przed nimi.

Jechali jakiś czas w milczeniu, po czym Nevada spytała:

- Długo będziemy jechać?
- Dość długo.
- Sądźysz, że gdy jeźdźcy zorientują się, że nie ma mnie w kasbahu, będą chcieli nas dogonić?
- To całkiem możliwe.
- A jeżeli... dogonią?

Przez chwilę trwała cisza, potem Tyrone powiedział:

- Będziesz miała wybór, albo odjechać z nimi, albo zginać z mojej ręki.

Nevada odwróciła tylko głowę i schowała twarz w jego ramieniu.

- To nie jest... kwestia... wyboru - rzekła, gdy mogła już zapanować nad głosem. - Wiesz przecież, że wolałabym raczej... umrzeć.

- Spodziewałem się, że tak powiesz - odparł. - Lecz jeżeli będziemy mieli szczęście i przychylność opatrności, zanim nas dogonią, dotrzemy bezpiecznie do Tafraout.

Twarz miała ciągle ukrytą w jego ramieniu. Po chwili szepnęła:

- Przepraszam... ja naprawdę... nie zdawałam sobie sprawy z tego, że szejk może żywić w stosunku do mnie takie zamiary... ja tylko chciałam... by mi ktoś pomógł.

- I naprawdę wyobrażałaś sobie, że oni by ci udzielili pomocy? - zapytał Tyrone Strome, tym razem już z cieniem rozbawienia w głosie.

- Czytałam w twoich książkach, że oni są... niecywilizowani, ale chyba dlatego, że jestem taką... ignorantką w tych sprawach, nie potraktowałam tego poważnie.

- To nie tyle sprawa ich ucywilizowania - odparł - lecz faktu, że kobiety, oprócz tego, że są obiektami ich rozrywki, stanowią dla nich małą wartość. Problem, czy kobieta, która staje się własnością mężczyzny, ma jakieś uczucia czy pragnienia, w ogóle nie istnieje.

Nevada nie odezwała się.

Myślała o tym, czy przypadkiem on sam też tak nie myśli o kobietach.

Nigdy oczywiście nie liczył się z jej uczuciami, a mimo to ryzykował życie swoje i paru innych jeszcze mężczyzn, by ochronić ją przed konsekwencjami jej własnej głupoty.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że gdyby doszło do walki, uzbrojeni jeźdźcy bez trudu zastrzeliliby poganiaczy wielbłądów, a rewolwer Tyrone'a Strome'a nie na wiele by się zdał.

Ciekawa była, co czułby, gdyby musiał ją zabić.

Potem wytłumaczyła sobie, że pewnie zabił już w życiu wiele osób i zabicie jednej kobiety więcej nie będzie miało dla niego wielkiego znaczenia.

Te sprzeczne myśli przepelnione były jednak lękiem; bała się tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu.

Mogła jedynie zamknąć oczy i siedzieć bez ruchu w jego objęciach. Jechali bardzo szybko po nierównym, skalistym gruncie.

- Teraz jestem bezpieczna - powiedziała sobie Nevada - bezpieczna, ponieważ objął mnie ramionami i ponieważ obroni mnie... jeśli tylko będzie mógł.

Próbowała policzyć, ile już mil przejechali od chwili, gdy opuścili kasbah, ale chyba nie odjechali daleko; karawana poruszała się przecież tak wolno.

Jeźdźcy na swych rączych arabskich rumakach dogoniliby ich w ciągu kwadransa, więc było jasne, że w każdej chwili mogą ich dopaść.

Myśli te napełniały ją strachem i sprawiały, że serce biło niespokojnie. Chociaż była wystraszona, nie mogła do końca uwierzyć, że to, czego się tak bardzo obawiała, może stać się realne.

Zastanawiała się też, czy to możliwe, że ona, Nevada van Arden, rozpieszczona, bogata Amerykanka, może umrzeć na tej kamiennej pustyni i nikt nawet się nie dowie, co się z nią stało?

Gdy pomyślała o tym, z przerażeniem zdała sobie sprawę, jak mało znaczyła jej śmierć.

Ilu miała prawdziwych przyjaciół, którzy pograżyliby się w smutku na wieść, że nie ma już jej na świecie? Ile osób mogło kochać ją na tyle, by uronić łzę na wieść o jej śmierci?

Pierwszy raz Nevada zobaczyła siebie taką, jaką była, bez otoczki bogactwa i urody.



Gdyby umarła, tak jak ten człowiek, którego wczoraj pokazał jej Tyrone, sepy wyszarpałyby mięso spośród kości i byłaby tylko jeszcze jednym zbielełym na słońcu szkieletem.

To, co czuła w tej chwili i czego się obawiała, w jakiś niepojęty sposób dotarło chyba do Tyrone'a, mocniej bowiem objął ją ramieniem i łagodnym głosem, jakim nigdy do niej się nie zwracał, rzekł:

- W niebezpieczeństwie dobrą zasadą jest, by nigdy nie przewidywać najgorszego.

- Trudno jest... tego nie robić - wyszeptała zduszonym głosem.

- Wiem - odparł - lecz szczęście, jak dotąd, nigdy jeszcze mnie nie opuściło i nie wierzę, żeby teraz miało być inaczej.

- Mam taką... nadzieję. Nie chcę... umierać.

- Tak się składa, że ja też nie mam na to ochoty. Mam jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia.

- Na przykład... dokończyć książkę.

- No właśnie!

Czuła, że uśmiechał się nad jej głową:

- Pamiętaj, że jeżeli przeżyjemy, będzie to najbardziej zajmująca przygoda spośród wszystkich opisanych w naszych wspomnieniach,

- Wątpię, czy ktokolwiek zechce czytać mój pamiętnik.

- To oczywiście zależy, ile jeszcze przygód przeżyjesz. Ponieważ mówił to tak spokojnie, paraliżujący ją dotąd strach osłabł nieco. Całkiem już naturalnym głosem powiedziała:

- Sądzę, że po tych wszystkich przygodach będę szczęśliwa siedząc w domu z robótką.

- Może lepiej będzie, jeśli nauczysz się gotować?

Przez chwilę myślała, że szydził z niej, potem doszła jednak do wniosku, że tylko żartował.

- Z pewnością wezmę się do nauki... jeżeli w ogóle wrócimy... do cywilizowanego świata.

- Wprawdzie w tej chwili nie mogę zaoferować ci nic cywilizowanego - odparł - lecz z całą pewnością jesteśmy już bezpieczni.

Usłyszała w jego głosie triumf, więc podniosła głowę, i wtedy dostrzegła w odległości mniej więcej mili ogromne, różowe granitowe urwisko zarysowujące się na tle nieba, a u podnóża pierzastą zieleń drzew palmowych.

- Tafraout! - krzyknęła podniecona.

Mówiąc to spojrzała na niego i zobaczyła, że się uśmiechał.

Znowu zwyciężył! - pomyślała.

Wiedziała już, że jej przerażenie i obawy były bezpodstawne. Przecież wszystko, co robi Tyrone Strome, nieuchronnie musi zakończyć się sukcesem.

Zbliżali się do małego miasteczka, którego mury i ściany domów miały barwę różową. Wokół rosły palmy, drzewa oliwne i migdałowce.

Znajdowało się tam kilka małych kasbahów, które można było rozpoznać po zwieńczonych blankami wieżyczkach. Gdy podjechali bliżej, Nevada zauważyła, że miasteczko Tafraout leżało w zaskakująco urodzajnej i nad wyraz pięknej kotlinie.

Leżące w samym sercu ogromnego łańcucha górskiego, odizolowane od reszty Maroka, Tafraout było maleńkim rajem ukrytym przed wrogim światem.

Wysokie granitowe ściany skalne otaczały piękne miasteczko jak olbrzymie ramiona, miejscami wznosząc się na wysokość setek stóp, tworząc w ten sposób bezpieczną naturalną fortecę.

Widok był tak urzekający, że Nevada zastanawiała się, czy nie śni.

Jakby zgadując jej myśli, Tyrone rzekł:

- Kotlina Ammeln przypomina mi pewne osobliwe, zagadkowe i urodzajne kotliny, które widziałem w

Himalajach.. Kryje w sobie tajemnicę starożytnej cywilizacji, tak odmiennej od innych cywilizacji marokańskich.

- Opowiedz mi o nich - zachęcała skwapliwie.

- Później - obiecał. - Sądzę, że najpierw powinniśmy dojechać do mojego domu.

- Twojego... domu?

Kiwnął głową. Tymczasem koń kroczył wolno wąskimi ulicami, aż wreszcie dojechali do kasbahu, otoczonego drzewami migdałowymi, które nadawały bajecznemu pałacowi nieziemski urok.

Gdy ciężkie drzwi otworzyły się, pośpiesznie wyszli z nich służący. Witali Tyrone'a Strome'a uśmiechnięci, pozdrawiając go bez końca.

Powiedział coś do nich w ich języku i już po chwili wjechali do środka. Zabudowania przypominały bardziej dom niż kasbah.

Zaraz przy następnych drzwiach Tyrone zeskoczył z konia, potem zсадził Nevadę i postawił ją na ziemi.

Kiedy weszła do domu, stwierdziła, że znalazła się w najwspanialszej z komnat mauretańskich, jakie dotychczas widziała.

Kafelki, draperie, ażurowe parawany, wszystko to było o wiele piękniejsze niż mogła sobie wyobrazić.

Duże kanapy z rozrzuconymi na nich poduszkami i wentylatory wirujące pod sufitem sprawiały, że komnata wydawała się być nie tylko piękna, ale i wygodna na zachodni sposób.

Tyrone gestem zaprosił Nevadę, by usiadła na jednej z sof, i natychmiast postawiono przed nią filiżankę herbaty miętowej.

Spojrzała na niego pytająco, a on rzekł z uśmiechem:

- Możesz zdjąć haik i litham, i rozgościć się.

Ochoczo odrzuciła białe zawoje i ściągnęła z twarzy litham.

Włosy miała nie upięte, opadły więc na ramiona, oślepiająco rude w miękkim świetle docierającym z osłoniętych okien.

Pomyślała, że pewnie wygląda wyjątkowo nieporządnie po tym wszystkim, co przeszła, lecz w tej chwili nie dbała o to.

Podniosła filiżankę z herbatą miętową Wypiła skwapliwie, uświadamiając sobie równocześnie, że była rozpaczliwie spragniona nie tylko z powodu długiej jazdy, lecz także z powodu towarzyszącego jej przez cały czas strachu.

Tyrone wyszedł z pokoju. Nevada rozejrzała się.

Wydawało się jej nieprawdopodobnym, że to był jego dom, a rzuciwszy szybkie spojrzenie na kotlinę pojęła, że każdy, kto lubi samotność i osobliwe miejsca, z pewnością pragnąłby odwiedzić Taфраout

- Ma tu dobre warunki do pracy - pomyślała. Domyśliła się, że niepokoił się o karawanę. Gdy wrócił, zapytała:

- Czy jest od nich jakaś wiadomość?

- Wysłałem paru moich ludzi na ich spotkanie.

- Martwisz się o rękopis książki.

- Jesteś bardzo domyślna.

- Czy dużo już napisałeś?

- Prawie połowę. Byłbym niepokieszony gdybym musiał zaczynać od początku.

- Możemy więc tylko modlić się, by dotarli bezpiecznie.

Zanim odpowiedział, uniósł brwi:

- Słowa te raczej trudno uznać za przejaw wrogości.

Powinnaś raczej cieszyć się, że strata tak cennej rzeczy sprawi mi przykrość.

- Nie jestem aż tak małostkowa - odparła szybko Nevada, gdy uświadomiła sobie, że pokpiwa z niej.

- Gdzie jest twoje miejsce pracy? - zapytała. Wskazał na stół stojący w odległym końcu pokoju, którego przedtem nie zauważyła.

Poszedł na drugi koniec pokoju i odsunął kilka przepięknie haftowanych kotar, odsłaniając ogromne okna bez szyb, z których rozciągał się widok na całą dolinę.

Nevada wstała, podeszła do okna i stała przyglądając się uprawom, drzewom w pełnym rozkwicie, kwiatom, różowym budynkom i ogromnej ścianie skalnej o różowym odcieniu, osobliwie błyszczącej w świetle odbitych promieni słońca.

Gdzieniegdzie, przytulone do olbrzymich skał, widać było małe wioski z domkami. Miały taką samą barwę jak grunt, na których stały, były więc prawie niewidoczne.

- Dolina Ammeln - rzekł Tyrone Strome.

- Jest przepiękna.

- Właśnie tak pomyślałem, gdy po raz pierwszy tu przyjechałem. Zachwyciła i zafascynowała mnie ta dolina.

- Prawie jak z bajecznego snu - dodała. Nie odpowiedział, więc po chwili zapytała:

- Właśnie o niej piszesz w swojej książce?

- Tak.

- Czy mogłabym ci pomóc?

- Pisać książkę? - zapytał.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła - ale może mogłabym przepisywać twój rękopis. Słyszałam, że autorzy książek wykonują wiele kopii, zanim rękopis zostanie w końcu opublikowany.

- To dobry pomysł - odpowiedział - ale obawiam się, że może cię to znudzić.

- Bardziej będę znudzona bezczynnością. Chociaż przez chwilę zdawało mi się, że mogłabym całą dobę tylko siedzieć i upajać się widokiem tej pięknej doliny.

- Chociaż widok ten syci ducha - uśmiechnął się Tyrone Strome - przypuszczam, że jesteś tak samo głodna jak ja. Pozwól, że pokażę ci twój pokój. Powiem służącym, aby usunęli się, byś mogła się przebrać. Mam nadzieję, że spośród kaftanów, które ci przyniosą, któryś będzie na ciebie pasował. Jutro zaś wybierzesz coś sobie według własnego gustu.

Nevada zdziwiła się, lecz nic nie odpowiedziała. Po prostu podążyła za nim.

Luksusowa sypialnia znajdowała się na tym samym piętrze, jej okna również wychodziły na dolinę.

W sypialni też nie było szyb w oknie, podobnie jak we wszystkich marokańskich domach, lecz ogromne, drewniane okiennice zamykane tylko wtedy, gdy robiło się zimno.

Pokój był tak duży i wygodny, że Nevada nie mogła powstrzymać uwagi:

- Mam wrażenie, że tak naprawdę jest to twój pokój. Nie chciałabym, jako niepożądany gość, pozbawiać cię go.

Tyrone Strome uśmiechnął się. Zauważyła też, że jej taktowne postępowanie najwyraźniej zaskoczyło go.

- Zapewniam cię - odparł - że jest to pokój, w którym zatrzymują się goście. Mój natomiast znajduje się tuż obok. Jesteś gościem w moim domu, obiecuję ci więc, że będziesz tu całkiem bezpieczna, nie zostaniesz ani porwana, ani okradziona. Może tego nie odczujesz, lecz tak naprawdę będziesz tu doskonale strzeżona.

Nevada spojrzała na niego z niepokojem.

- Sądzisz, że ludzie szejka mogą mnie jeszcze szukać?

- Nadal istnieje możliwość, że szejk tak łatwo nie zrezygnuje - odparł Tyrone Strome. - Pamiętaj jednak, że mieszkańcy Tafraout sami stanowią prawo dla siebie. Nie tworzą nawet plemienia, a granice ich państwa wytyczają góry.

- Mówisz, że Tafraout nie zamieszkuje plemię - zdziwiła się Nevada. - Kim więc są jego mieszkańcy?

Tyrone roześmiał się.

- To pytanie, które sami Marokańczycy zadają sobie od wielu wieków. Mieszkańcy Tafraout to w istocie najstarszy, najbardziej rdzenny i nieskażony naród w całym państwie.

Dostrzegł zainteresowanie w oczach Nevady, więc kontynuował:

- Są to Berberowie z grupy Chileun, którzy schronili się tu w górach dwieście lat temu uciekając przed wkroczeniem arabskich najeźdźców. Są bardzo nieufni wobec świata zewnętrznego i pilnie strzegą swojej doliny. Pracują bardzo ciężko i trzymają się zawsze razem.

Tyrone Strome podszedł do okna i spojrzął na dolinę, po czym ciągnął dalej;

- Jeżeli nawet jakiś mieszkaniec Tafraout opuści dolinę, by się dorobić w innej części Maroka, na pewno wróci tu, by założyć rodzinę. Buduje jeden z tych małych domków z płaskim dachem przypominających małą twierdzę, a na starość otoczony rodziną żyje szczęśliwie w swym małym edenie.

W jego głosie można było usłyszeć nutę zazdrości.

- Czy właśnie tak chciałbyś żyć?

- Może, pewnego dnia, gdy będę już za stary, by szukać przygód - odpowiedział lekko.

Podszedł do drzwi.

- Przydzielę ci pokojówkę, by się tobą zajmowała. Obawiam się jednak, że będziesz musiała porozumiewać się z nią na migi.

Pokojówką była młoda, ładna dziewczyna. Była nieśmiała, lecz chętna do pracy. Przyniosła ciepłą wodę i parę kaftanów, o których wspominał Tyrone.

Nevada postanowiła się przebrać. Wszystkie kaftany były za małe, pasował na nią tylko jeden, w przepięknym odcieniu bladej zieleni, haftowany złotą nitką.

Włożyła też nowe sandały oraz złotą biżuterię, którą Tyrone dał jej jeszcze przed wyruszeniem w podróż.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze i na długie, rude włosy opadające na ramiona, stwierdziła, że nawet w najdroższych magazynach paryskich trudno byłoby znaleźć strój, w którym wyglądałaby korzystniej.

Długi prosty kaftan był uszyty z miękkiego jedwabiu; przylegał do ciała uwydatniając raczej niż skrywając jej szczupłą sylwetkę.

Była bardzo ciekawa, jakie wrażenie wywarłby jej obecny wygląd na tych wszystkich mężczyznach w Nowym Jorku, Paryżu czy Londynie, którzy prawili jej tak nadzwyczajne komplementy i kładli serca u jej stóp.

- Jaka szkoda, że nikt nie zabiega o moje względy - pomyślała.

Doskonale wiedziała, jakie były uczucia Tyrone'a Strome'a.

Jasno dał jej do zrozumienia, jak bardzo nią pogardza, nazwał ją nawet diabolicą. I choć ją to niezmiernie złościło, zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę jego zarzuty były w pewnym stopniu uzasadnione.

Oczami wyobraźni znowu zobaczyła czaszkę na pustyni leżącą w jaskrawym słońcu i słyszała swój głos, jak mówiła, zwracając się do Davida z drwiną i szyderstwem, że bardzo by chciała zobaczyć martwego człowieka.

Gdyby Tyrone Strome nie działał tak szybko, gdyby nie dostrzegł ludzi szejka, zanim ci dogonili karawanę, byłoby z pewnością co najmniej tuzin martwych lub umierających mężczyzn, leżących wśród skał, ją natomiast zastrzeliłby sam Tyrone ostatnią kulą swego rewolweru.



Nevada odwróciła się od lustra, jakby nie mogła znieść widoku własnego odbicia.

- Skąd mogłam wiedzieć - zapytała - że tutaj mężczyźni nie rozstają się z bronią i że najważniejszą dla nich rzeczą jest pozostać przy życiu.

Nigdy przedtem nie uświadamiała sobie, jak cenne jest życie i jak trudno je ochronić.

Teraz wiedziała, że nie doceniła wartości czegoś tak bezcennego, jakim było życie, zwykłego, zdawałoby się, aktu oddychania i istnienia.

Wiedziała bardzo mało o Tyrone, pamiętała jednak, jak David wyrażał się o nim z ogromną czcią, taką jaką młody mężczyzna obdarza kogoś, kto jest dla niego wzorem i bohaterem.

W głębi duszy była pewna, że dokonał w życiu wielu bohaterskich i wspaniałych czynów, choć nigdy o nich nie opowiadał, a co więcej, trzymał je w sekrecie.

Jeżeli więc wielokrotnie znajdował się w takich sytuacjach jak ta, której doświadczyli dzisiaj, nic dziwnego, że kobieta drwiąca ze śmierci, która twierdzi, że zabawnym byłoby zobaczyć martwego człowieka, wzbudzała jego najwyższe oburzenie.

- Ja naprawdę nie jestem taka - szepnęła do siebie. - A może... jestem?

Gdy wróciła do pokoju gościnnego, szukając Tyrone'a, czuła zażenowanie.

Co innego było siedzieć przy nim w oazie, szczelnie owinięta od stóp do głów, a co innego być z nim sam na sam, w jego domu, z włosami rozpuszczonymi na ramiona nie mając nic pod jedwabnym kaftanem. Właśnie to sprawiało, że czuła się skrepowana i zakłopotana.

Posiłek podano zgodnie ze wschodnim zwyczajem na niskim stole ustawionym przed wygodną sofą na której leżały jedwabne poduszki.

Nevadę onieśmiałą ta sytuacja, natomiast Tyrone czuł się bardzo swobodnie.

- Mam wrażenie, że chętnie wypiłabyś szklaneczkę wina - powiedział. - W żadnym muzułmańskim domu nikt ci tego nie zaproponuje. Tutaj jednak nie sięgają religijne ograniczenia, mam więc nadzieję, że pomysł ten przypadnie ci do gustu.

Wino było rzeczywiście wyśmienite. Zrobiło się jednak gorąco.

Było już po południu, upał się wzmagił, więc Tyrone ponownie zasunął kotary w oknach. Dzięki temu w pokoju zapanował półmrok i zrobiło się chłodniej.

Posiłek, składający się z mauretańskich dań, był doskonały.

Nevada była bardzo głodna, jadła więc w milczeniu, dopóki nie postawiono na stole słodyczy. Wtedy odchyliła się nieco do tyłu i wzdychając rzekła:

- Jeżeli jadłam zbyt łapczywie, proszę mi wybaczyć.

- Ja również byłem głodny - rzekł. - Gdy strach mija, wzrasta apetyt.

- Bardzo... się bałam.

- Wiem o tym.

Pewnie przypomniał sobie te chwile, gdy drżała na widok wjeżdżających do wąwozu jeźdźców. Ogarnął ją wstyd, że nie była wtedy odważniejsza.

- Może teraz już zrozumiałaś, że w sytuacjach podobnych do tej, w jakiej znaleźliśmy się dzisiaj - rzekł Tyrone Strome - kobieta, jakkolwiek nie czułaby się niezależna, potrzebuje ochrony mężczyzny.

- Teraz już wiem - odparła Nevada. - Nie ma potrzeby jeszcze bardziej mnie upokarzać.

- Naprawdę czujesz się upokorzona? - zapytał. - To ostatnia rzecz, jakiej bym się po tobie spodziewał.

- Wiem aż za dobrze, co myślisz o mnie - odpowiedziała Nevada - i przypuszczam, że moim jedynym wytłumaczeniem może być fakt, że byłam zupełnie nieświadoma konsekwencji swoich czynów. Łatwo jest wówczas być odważnym. Trudno jest też rozumieć czyjeś uczucia, jeżeli nigdy się ich nie podzielało.

- To nadzwyczaj szczere wyznanie - rzekł cicho Tyrone.

Nevada wstała z kanapy, aby podejść do okna. Odśloniła jedną z zasłon, by wyrzec na zewnątrz. Słońce zalewało dolinę jaskrawym światłem.

Różowe urwiska skalne raziły oczy.

- Jak długo zamierzasz tu zostać? - zapytała.

- To zależy - odparł Tyrone Strome. - Czy bardzo ci się spieszy?

- Już nie - odpowiedziała.

- Dlaczego?

- Ponieważ jestem zainteresowana ludźmi, mieszkającymi tutaj, tą piękną okolicą i...

Nie dokończyła, więc po chwili zapytał:

- I czym jeszcze?

- Jeżeli chcesz znać prawdę... i... tobą.

- Jak to?

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego podjąłeś się roli samego Boga. Wiem oczywiście, że przede wszystkim chciałeś ratować Davida. Lecz mogłeś pozbyć się mnie równie łatwo nie przywożąc mnie do tego okrytego tajemnicą miejsca, które, jak mi się zdaje ma dla ciebie ogromne znaczenie.

Mówiła cicho, a gdy przerwała, zdawało się, że cisza, która po tym nastąpiła, miała w sobie coś niezwykłego.

Ponieważ nie odpowiadał, Nevada zasłoniła kotary i wróciła w głąb pokoju.

Przez chwilę nic me widziała oślepiąa jeszcze słońcem, potem dostrzegła, że Tyrone nadal leżał na sofie i że wtedy, gdy szła w jego kierunku, wpatrywał się wnikliwie w jej twarz.

Podeszła wolno i stanęła przed nim.

Intensywną zieleń jej oczu podkreślała bledość twarzy, a niepokój widoczny na jej twarzy pozwalał sądzić, że odpowiedź, na którą czekała, miała dla niej ogromne znaczenie.

Tyrone Strome milczał przez kilka sekund.

Wpatrywał się w Nevadę, badawczo i przenikliwie, jakby chciał zajrzeć głęboko do jej wnętrza.

Potem bardzo spokojnie powiedział:

- Sądzę, Nevado, że zaczęłaś poznawać siebie.

## Rozdział 6

Gdy Nevada wyjrzała przez okno sypialni, znów urzekło ją piękno krajobrazu rozpościerającego się na zewnątrz.

W dole skały ostro opadały do muru otaczającego kasbah wyglądający przepięknie pośród kwitnących drzew.

Widać było krętą ścieżkę prowadzącą do miasteczka Tafraout. Ponownie spojrzała w dół, tam gdzie dolina Ammeln połyskiwała w słońcu, a góry po obu jej stronach mieniły się wszystkimi odcieniami różu.

Z każdym dniem dolina Ammeln wydawała się jej coraz piękniejsza.

Trudno było sobie wyobrazić, że zaledwie parę mil od tego miejsca były nagie, nieurodzajne doliny, granitowe urwiska i kamienista pustynia, którą przemierzali jadąc w tę stronę.

Mijał już tydzień, odkąd przybyła do kasbahu Tyrone'a. Czas płynął bardzo szybko.

Chwilami ogarniało ją uczucie, że nie знаła innego rodzaju bytowania, że zawsze mieszkała w tym cichym, spokojnym zakątku, którego urok przemawiał nie tylko do umysłu, ale i do serca.

Przed nią na biurku, leżał rękopis Tyrone'a. Przepisywała go starannie na kartki, ułożonego w stos, gładkiego papieru.

Tyrone pisał powieść historyczną, sądziła więc początkowo, że przepisywanie będzie sprawiało jej trudność. Przypuszczała bowiem, że będzie miała kłopoty ze zrozumieniem treści, tak jak to było w przypadku niektórych książek na jachcie.

Mogła się przecież spodziewać, że wszystko, co Tyrone napisze, będzie równie osobliwe i oryginalne jak on sam.

Plemiona, o których pisał w książce, przywrócił do życia. Sprawił, że ludzie znowu żyli swoimi problemami, śmiali się i

plakali, starali się polepszyć swój byt i odważnie stawiali czoło porażkom.

Wraz z każdą kopiowaną stroną rękopisu wzrastało jej zainteresowanie i to nie tylko Berberami; coraz bardziej pogłębiała się nienasycona ciekawość dotycząca samego autora.

Do niej Tyrone odnosił się z surowością i pogardą Teraz przekonała się, że oprócz tego, iż potrafił pisać o wielu sprawach z głębokim zrozumieniem i współczuciem, wzruszającym ją nieraz do łez, miał też ogromne poczucie humoru.

Zdała sobie sprawę, zarówno czytając jego rękopis, jak też na podstawie rozmów z nim, że był człowiekiem bardzo utalentowanym.

Z każdą godziną dowiadywała się o nim nowych rzeczy i odkrywała cechy charakteru, o których dotąd nie miała pojęcia.

- Jestem pewna, że na całym świecie trudno byłoby znaleźć drugiego takiego mężczyznę - mruknęła patrząc na dolinę.

Nagle, zupełnie jakby myśli jej miały czarodziejską moc, dostrzegła, jak Tyrone wspina się konno w górę ścieżką prowadzącą ze wsi.

Przy nim szło kilku mężczyzn. Mówili do niego z podnieceniem, żywo gestykulując. Słuchał z zaciekawieniem, skupiając na tym, co mówili, całą swoją uwagę.

Wiedziała już, i ceniła go bardzo za to, że sprawie, która go interesowała, oddawał się bez reszty.

Było tak wtedy, gdy ktoś zwracał się do niego o pomoc lub gdy starał się pocieszyć płaczące na ulicy dziecko.

Nie było dla niego spraw małych czy nieważnych. Wszystko przyciągało jego uwagę. Nevada doszła do wniosku,

że przyczyną jego wyjątkowości było to, że bardzo rzadko myślał o sobie.

W różowym kasbahu wiodła dziwny tryb życia, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyła.

Codziennie, gdy Tyrone wracał z konnej przejażdżki, razem jedli śniadanie.

Zazwyczaj opuszczał kasbah, zanim wstała, i chociaż pragnęła mu towarzyszyć, bała się, a może wstydziła, poprosić go o to.

Gdy wracał po wschodzie słońca, jedli na dziedzińcu położonym w centrum kasbahu.

Na niewielkiej przestrzeni znajdowały się nie tylko egzotyczne rośliny i kwiaty, lecz również drzewa owocowe oraz mała kamienna fontanna. Dźwięki wody, wznoszącej się i spadającej, tworzyły akompaniament towarzyszący ich rozmowom.

Zaraz po śniadaniu Tyrone zabierał się do pracy, a Nevada, nie mając innych zajęć, szła w jego ślady.

Najpierw chyba chciał, by była sama, tak jak na jachcie, wtedy gdy z nikim nie rozmawiała i nie miała się czym zająć. Jednak gdy wysunęła propozycję kopiowania rękopisu, wziął ją za słowo i wręczył stos kartek, które można było już przepisywać.

Natychmiast zaczęła je kopiować, napotykając często trudności albo przy wprowadzaniu poprawek i wstawek, albo też z określeniem poprawnej pisowni niektórych słów pochodzących z języka miejscowej ludności.

Nie widywali się aż do lunchu, a po lekkim, lecz wyśmienitym posiłku, cały kasbah ogarniała cisza. Był to czas sjeisty, kiedy wszyscy odpoczywali.

Wtedy rozmawiali swobodnie, siedząc w chłodnym pokoju gościnnym z zasłoniętymi kotarami i wirującymi nad głowami wentylatorami utrzymującymi lekki ruch powietrza.

Początkowo była trochę zażenowana i krępowała się zadawać mu pytania, obawiając się ostrej odprawy. Później gdy siadali lub kładli się wygodnie na głębokich kanapach, zdobywała się na odwagę i pytała o wszystko, co ją interesowało.

O jego sprawy zawodowe nie pytała. Dobrze wiedziała, że na ten temat nic nie powie.

Wiedziała przecież, że zwykły Anglik nie mógłby tak swobodnie poruszać się po południowym Maroku ani też wybudować sobie domu w Tafraout.

- Tubylcy są niesłychanie nieufni wobec obcych i niewiernych - wyjaśniał Nevadzie - a podróżnicy są przyjmowani z podejrzliwością, która często jest przyczyną ich śmierci.

- W twoim przypadku było inaczej?

- Nabrali do mnie zaufania z różnych powodów - odparł wymijająco. - Gdy po raz pierwszy tu przybyłem, przekazywano mnie z rąk do rąk, od jednego do drugiego plemienia i zawsze miałem przy sobie specjalny glejt. W ten sposób przemieszczałem się od granic jednego terytorium do drugiego.

Roześmiał się i dodał:

- Miejsce, gdzie się teraz znajdujemy, jest okryte taką tajemnicą, że nawet na mapie jest oznaczone jako Góry Saharyjskie stosunkowo mało zamieszkane.

Wprawdzie Tyrone nie mógł opowiadać Nevadzie o swojej pracy, mówił jej za to o miejscach, które zwiedzał, ludziach, których spotykał, a przez ostatnie dwa dni również o swoich przemyśleniach i poglądach.

- Dowiedziałam się tu więcej niż gdziekolwiek indziej w ciągu całego życia - myślała teraz Nevada patrząc na Tyrone'a, gdy ten wjeżdżał ścieżką pod górę.



Słońce świeciło za jego plecami przez co zdawało się, jakby jechał w jej kierunku otoczony aureolą światła. Pomyślała, że chyba nie ma drugiego mężczyzny, tak bardzo męskiego, o tak zniewalającej osobowości. Chciała, by jak najwięcej jej opowiadał, dlatego starała się go nie prowokować.

- Tyle mogę się przy nim nauczyć - powiedziała do siebie.  
- Byłabym głupia gdybym nie wykorzystała szansy, jaką daje mi jego towarzystwo... bez względu na to, czy odbywa się to zgodnie z moją wolą czy też nie.

Przecież któregoś dnia, może jutro, a może za tydzień, Tyrone podejmie decyzję o jej wyjeździe.

Odwiezie ją z powrotem do tego świata, z którym niegdyś była tak zżyta. Tego przecież pragnęła. Ale całkiem nieoczekiwanie, jak strzał z pistoletu, przemknęła jej myśl, że tak naprawdę wcale nie chce odjeżdżać.

Nie potrzebowała pytać dlaczego.

Zupełnie jakby ziemia się rozstąpiła pod stopami i otworzyła się czeluść piekielna, usłyszała diabelski chichot, drwiący z tego, że pragnęła zostać z Tyrone'em.

Wydała okrzyk gdzieś z głębin swojej duszy.

- Nie! Nie! - szepnęła. - Nienawidzę go... nienawidzę i czuję do niego wstręt... za to, że mnie tak traktował!

Usłyszała diabelski śmiech.

- Kochasz go! - kochasz!

- Nie, nienawidzę go!

Podczas gdy jej umysł upierał się przy tym, że nienawidzi Tyrone'a Strome'a, serce mówiło prawdę. - Kochała go!

- O Boże, to nie może być prawda... to niemożliwe! - szepnęła zapamiętale.

Im gwałtowniej protestowała, tym bardziej uświadamiała sobie, że to była prawda: kochała go.

W zasadzie nienawiść ulotniła się już wtedy, gdy skulona za głazami, drżąc ze strachu, wiedziała, że będzie bronił ją przed jeźdźcami szejka.

Potem jechali przed karawaną do Taфраout i trzymał ją w objęciach. Był tak blisko, że gdy ukryła twarz w jego ramieniu, czuła nie tylko ulgę, nie tylko ukojenie, lecz coś znacznie więcej.

Nadal jednak, nawet sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Nawet gdy tamtej nocy, zaraz po przyjeździe do Taфраout, spała bezpiecznie jak dziecko tylko dlatego, że Tyrone był w sąsiednim pokoju.

Kochałam go już wtedy - pomyślała Nevada - i z każdym dniem coraz Hardziej, tylko dumą nie pozwalała mi się do tego przyznać.

Teraz rozpaczliwie uświadomiła sobie, że każdy poranek wydawał jej się tak ekscytujący, ponieważ wiedziała, że zobaczy Tyrone'a. Dni mijały tak szybko tylko dlatego, że pracowała nad jego książką. Liczyła godziny do wspólnego lunchu, czekała na rozmowy z Tyrone'em i na porywające, pełne uroku, wspólnie spędzane wieczory.

Gdy następnego wieczoru wyszła na dziedziniec, Tyrone czekał już na nią. Na stole stały zapalone świece, a światło odbijało się w fontannie wszystkimi kolorami tęczy. Z drwiną w głosie rzekła:

- To bardzo teatralna... dekoracja!
- Ale jakże romantyczna!
- Być może. Mówiłam, że nie interesują mnie romanse.
- Jakże wiele pani traci!
- Nie sądzę. Ja tylko staram się ochronić przed cierpieniem i nie odwzajemnionymi tęsknotami sprawiającymi, że ci, którzy to przeżywają, stają się ckliwi i śmieszni.

- Od zarania dziejów miłość inspiruje mężczyzn do wspaniałych aktów odwagi, do tworzenia i komponowania wspaniałych arcydzieł, i budowania zachwycających grobowców, takich jak choćby Taj Mahal.

- Współczuję kobietom, które muszą wysłuchiwać tych wszystkich ckliwych wyznań miłosnych.

- Niezbadane są wyroki Allaha - odparł Tyrone. - Ofiarował ci ciało i twarz kobiety, zapomniał natomiast o sercu.

- Za co każdego dnia odmawiam modlitwę dziękczynną - odpaliła Nevada. - Podczas gdy inne kobiety cierpią w kajdanach, które zresztą same sobie wykuwają ja jestem wolna.

Zauważyła zdumienie w oczach Tyrone'a i dodała chłodno:

- Mówię o emocjonalnej wolności! Doskonale wiem, że jeśli chodzi o fizyczną jestem twoim więźniem.

- Gdybym się zachował tak, jak moi odpowiednicy sprzed stu laty, uwięziłbym cię w głębokim, ciemnym lochu. Znajdują się one w każdym kasbahu południowego Maroka.

Uśmiechnął się i mówił dalej;

- Więźniów spinano tam razem łańcuchami, a ich nogi zakuwano w ciężkie, żelazne obręcze. Otrzymywali tylko tyle jedzenia, by podtrzymać życie.

- To było barbarzyństwo!

- Zgadza się. Leżeli w ciemnościach, czasem skuci razem ze zmarłym współwięźniem, dopóki miłosierna śmierć ich z tego nie uwolniła.

- Więc tak by się stało ze mną!

- Po głębszym zastanowieniu, raczej w to wątpię - twój zdobywca niewątpliwie znalazłby dla ciebie miejsce w haremie.

Myśląc o tym, jaki mógłby być jej los, Nevada zadrżała. Harem albo loch. Ile kobiet miało przed sobą taki wybór?

Tego wieczora nie była jednak w stanie szydzić z tej zdradliwej atmosfery dziedzińca. Była oczarowana.

W granatowym kaftanie haftowanym w srebrne gwiazdy, czuła się tak, jakby stanowiła fragment nieba.

W dziwnym, niemal kokieteryjnym nastroju, nałożyła na swe rude włosy niebieski welon ozdobiony ornamentami w kształcie gwiazd.

Włożyła też bransolety z cicho pobrzękującymi małymi, srebrnymi dzwoneczkami. Gdy szła w kierunku Tyrone'a, kobiecy instynkt podpowiadał jej, że wyglądała tajemniczo i ponętnie.

Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem, którego nie umiała określić. Czuła, że był tak samo przenikliwie świadom jej obecności, jak ona jego.

Rozmawiali o zwykłych sprawach, o książce i paru nowych odkryciach, których dokonał o innym marokańskim plemieniu, lecz były też chwile, gdy nie mówili nic. Zdawało się wówczas, że przemawiają do nich kwiaty i spadająca woda z fontanny.

W takich chwilach czuła, choć się do tego nie przyznawała, że współgrała z nim jak instrument w rękach muzyka.

Wydawało się, że każde wypowiedziane słowo miało jakieś szczególne znaczenie; przyswajała je nie tylko umysłem lecz całym ciałem.

Był bardzo spokojny, a mimo to czuła, że ją przytłaczał i dominował nad nią, ponieważ nie żyła swoim, lecz jego życiem i każde jej tchnienie należało do niego.

Gdy przyszedł czas, by powiedzieć dobranoc, podniosła się i stanęła przy fontannie, czując jak chłodna woda koi jej rozgorączkowane ciało.

Chyba wpatrywał się w nią ale nie była tego pewna.

Czy wiedział, zastanawiała się, że to on był powodem jej niepokoju, nagłego uczucia niepewności, kołatania serca i burzliwych uczuć, których nie śmiała nazwać po imieniu.

- Dobranoc.

Wymówiła to słowo właśnie dlatego, że chciała zostać, a jednocześnie bardzo się tego obawiała. - Dobranoc, Nevado.

W cichych, powoli wymawianych, słowach nie było nic, co by mogło stać się przyczyną gwałtownego bicia serca i przyspieszonego oddechu.

A gdyby, pomyślała w zapamiętaniu, poprosiła, żeby ją dotknął, pocałował na dobranoc, tak jak każdy mężczyzna próbowałby zrobić w tych okolicznościach.

Przeraziła się własnych myśli. Jak w ogóle mogła pomyśleć coś podobnego o jakimś mężczyźnie, a cóż dopiero o Tyranie?

Nienawidziła go. Był wszystkim, czego nie akceptowała, czego wypierała się z całej mocy, co wywoływało w niej bunt i oburzenie!

- Dobranoc! - powiedziała szorstko jeszcze raz i wyszła z dziedzińca nie oglądając się za siebie.

Dopiero w swojej sypialni, za zamkniętymi drzwiami podniosła dłonie do rozpalonych policzków. Pomyślała, że chyba marokańskie słońce sprawiło, że oszalała.

Wtedy, rankiem, następnego dnia po jej przybyciu, kupcy z miasteczka przynieśli ogromną ilość kaftanów, by Nevada mogła sobie coś wybrać.

Wszystkie były przepiękne, o czystych, żywych kolorach które tak kochały kobiety berberyjskie. Hafty były nadzwyczajne, łączone czasem ze złotą lub srebrną nitką, prawdziwymi turkusami, koralami czy też ametystami pochodzącymi z gór Atlasu.

Przyniesiono też szale, woalki i przepaski, jedną piękniejszą od drugiej.

Nevada wybierała, a Tyrone targował się z kupcami. Nietargowanie się oznaczało odebranie sprzedawcy przyjemności handlowania; dla niego każda transakcja była bitwą, w której wygrywał ten sprytniejszy.

Przyszli też jubilerzy. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami rozkładali swoje wyroby na małych skrawkach czarnego aksamitu.

Nevada przekonała się, że niemożliwością było oprzeć się tym wspaniałościom, misternie wykonanym drobiazgom, jak chociażby srebrne kolczyki wygięte w kształcie sierpu księżyca, z obwódkami z drogocennych kamieni i pereł.

Bransolety na ręce z wygrawerowanymi niezwykle wzorami były zachwycające, podobnie jak bransolety na nogi, stanowiące z tamtymi przepiękny komplet.

Te, do których były doczepione maleńkie dzwoneczki, bawiły ją niezmiernie. Wkładała je więc każdego wieczoru. Szła potem boso z ufarbowanymi henną stopami na dziedziniec, by zjeść z Tyrone'em, sam na sam, kolację pod gwiazdami.

- Musisz zliczać wszystkie wydatki, które ponosisz na mnie - powiedziała. Zwrócę ci je. Na jachcie mam mnóstwo pieniędzy.

- Są tam bezpieczne.

- Będzie trzeba wynająć karawanę z co najmniej dwudziestoma wielbłędami, aby unieść wszystkie moje sprawunki - roześmiała się.

- Zorganizuję to - obiecał - jak tylko zdecydujemy, że wyjeżdżasz.

- Gdy ty zdecydujesz - poprawiła.

Uśmiechnął się.

- Słusznie zauważyłaś. Gdy ja zdecyduję.

Miała ochotę zapytać, kiedy to nastąpi. Lecz nawet jeśli słowa przeszłyby jej przez gardło, zdawała sobie sprawę, że gdyby zadała takie pytanie mogłoby mu nasunąć myśl, że chce już wyjeżdżać.

- Kocham go! - powiedziała do siebie patrząc na niego, gdy podjechali bliżej do kasbahu. - Jak to się mogło stać?... i co mam robić?

Odkąd przyjechali do Taфраout, był uprzejmy, okazywał jej względy i dbał o jej wygody tak samo, jakby to zrobił w przypadku każdej innej kobiety, która zatrzymałaby się pod jego dachem.

Ale pod powierzchowną uprzejmością nie było nic, co pozwoliłoby sądzić, że zmienił o niej zdanie.

Aż za dobrze słyszała jeszcze jego głos, gdy mówił: - Nie jesteś zwykłą kobietą, Nevado, lecz okrutną, o kamiennym sercu, a nawet, jestem skłonny myśleć - złą!

Słowa te smagały ją jak bicz. Pamiętała też jak mówił z poważną i srogą miną:

- Zabrałem cię w tę podróż nie tylko po to, by ratować siostrzeńca i młodego Dundonalda, lecz także, by przekonać; się, czy można zmienić diabolicę w kobietę.

- Diabolicę w kobietę!

Słowa te nie dawały jej spokoju. Czasem budziła się w nocy, myśląc, że znowu słyszy, jak Tyrone wymawia te potępiające ją słowa.

Łatwo było sobie wtedy powiedzieć, że to nie jest aż tak ważne, co on myśli lub czuje. Przecież gdy się już od niego uwolni, zemści się za wszystko.

Nie wiedziała jeszcze dokładnie, jak to zrobi, lecz w jakiś sposób postara się go upokorzyć i sprawi, że będzie tak cierpiał jak ona teraz.

- Nienawidzę go... nienawidzę go... nienawidzę! - słowa były niczym modlitwa, którą powtarzała sobie ciągle od nowa.

- A przecież go kocham! - stwierdziła z rozpaczą. - Jak mogę kochać człowieka, który żywi do mnie takie uczucia?

Nie było jednak wątpliwości, że jest zakochana.

Gdy tylko zobaczyła Tyrone'a wchodzącego do pokoju czuła, jak jej serce wyrywa się z piersi.

Kiedy słyszała jego głos, czuła dziwne podniecenie wzbierające w gardle, a gdy uśmiechał się, to jakby zaświeciło słońce; ożywała wtedy cała jej dusza.

Dojeżdżał właśnie do murów kasbahu, a gdy skręcił w kierunku bramy wjazdowej, zniknął jej z oczu.

Rozpościerała się przed nią spokojna, piękna dolina. Nevada patrzyła na nią, zdecydowana, że postara się nie stracić ani sekundy jej uroku, aż do chwili, gdy zostanie jej to odebrane.

Gdy już stąd wyjedzie, kiedy nie będzie już diabolicą, z której Tyrone tak bardzo chce zrobić kobietę, lecz sobą - bogatą Amerykanką, Nevadą van Arden - pozostaną jej tylko wspomnienia.

Ile czasu jeszcze minie, zanim to nastąpi?

Spojrzała na rękopis i uświadomiła sobie, że przez ostatni tydzień wykonał ogromną pracę.

Być może kończy już swoją książkę.

Nie miała pojęcia, jak długo będzie jeszcze nad nią pracował.

- Czy wóczas znów ogarnie go niecierpliwość? Czy zapragnie nowych przygód, które tak wiele znaczą dla niego?

Rozpaczliwie starała się znaleźć odpowiedź. Był przecież człowiekiem, którego nie zadowoli bezczynny tryb życia.

Odpoczynek, wakacje, to jedno; by jednak zaspokoić potrzebę samorealizacji, Tyrone musi być aktywny.

- Może nigdy go już nie zobaczę?

Pytanie to już od dawna tkwiło w głębi jej umysłu.



Na tę myśl poczuła ból, zupełnie jakby sztylet przeszył jej serce. Wstała i przeszła do pokoju gościnnego, by tam czekać na przybycie Tyrone'a.

Po chwili wszedł. W rękę trzymał list.

Spojrzała na niego zaskoczona, więc wyjaśnił:

- Poinformowano mnie, że szukał mnie kurier. Oszczędziłem mu więc kłopotów związanych z przyjazdem tutaj.

- Chcesz powiedzieć, że są tacy ludzie, którzy wiedzą, gdzie mieszkasz?

- Tylko wtedy, gdy sam o tym zadecyduję - odpowiedział.

- Poza tym, to ważne pismo dyplomatyczne.

Była bardzo ciekawa, czego dotyczył list, ale gdy położył go na biurku nie otwierając, nie pytała o nic.

- Zaniedbałem pracę dziś rano - powiedział, gdy stała patrząc na niego. Zrozumiała, że pewnie chce, by zostawić go samego.

- To niepodobne do ciebie, byś wyjechał po śniadaniu.

- Jeżeli to wymówka - rzekł rozbawionym głosem - muszę wytłumaczyć się i powiedzieć, że straciłem zaledwie nieco ponad godzinę pracy.

- To nie była wymówka - odpowiedziała szybko Nevada.

- Tylko wydało mi się to tak niecodzienne.

- Pracujemy zupełnie jak w biurze - powiedział. - Zaczynam sądzić, że to był błąd. Dzisiaj jest chłodniej. Czy pojechałabyś ze mną na przejażdżkę?

- Naprawdę, mogłabym? - zapytała Nevada.

- Wcześniej nie zabierałem cię ze znanych powodów - odpowiedział. - Teraz jednak, gdy moi przyjaciele zbadali teren wokół miasta i stwierdzili, że nie ma śladu ludzi szejka, można przypuszczać, że istotnie zaniechał pogoni.

- Mam taką nadzieję - powiedziała Nevada żarliwie. - Naprawdę mogę pojechać na przejażdżkę?

- Obawiam się, że będziesz musiała włożyć litham - powiedział Tyrone. - Mam dla ciebie młodego konia, który powinien ci się spodobać. Siodło wprawdzie nie ma wzniesionego łęku, ale powinno być ci względnie wygodnie.

- Będę gotowa za dwie minuty.

Pobiegła z powrotem do sypialni, by zabrać haik.

Miała na sobie nowy kaftan z białego jedwabiu haftowanego srebrem.

Nie był to, jak pomyślała, najodpowiedniejszy strój do jazdy konnej, ale nie było czasu przebierać się.

Włożyła litham, cała owinęła się haikiem i spiesznie wróciła do Tyrone'a. - Jesteś szybka! - uśmiechnął się.

- Bałam się, że nie poczekaś na mnie.

- Pewnie domyślasz się, że dziś nie pojedziemy daleko, ponieważ wkrótce wzmoże się upał, ale jutro wyruszymy wcześniej. Jeżeli chcesz, będziesz mogła wybrać się ze mną na przejażdżkę przed śniadaniem.

- Pragnę tego ponad wszystko - odparła prawie z zapartym tchem.

Tyrone odwrócił się w kierunku drzwi. Do komnaty wszedł pośpiesznie służący.

Przywitał się po arabsku. Widać było wyraźnie, że jest poruszony. Mówił szybko, podnieconym głosem.

Nevada słuchała, ale nic nie rozumiała.

Uczyła się trochę ich języka. Starła się powtarzać za pokojówką nazwy wszystkich przedmiotów w sypialni. Mogła już powiedzieć parę zdań typu: „Dziękuję bardzo”, „Czy mogę prosić o więcej?” oraz „Dobrej nocy”.

Cokolwiek służący miał do zakomunikowania, mówił o tym bardzo długo. Tyrone słuchał bacznie z poważną miną.

W końcu służący przerwał. Nevadę ogarnął niepokój. Wyczuła instynktownie, że stało się coś złego. Zapytała więc szybko:

- Co się dzieje? Co on powiedział?  
- Mówi, że było trzęsienie ziemi.  
- Trzęsienie ziemi?!  
- Tak, we wsi Sakjena. Muszę natychmiast tam jechać.  
Może będę mógł w czymś pomóc.

- Pozwól mi jechać z tobą. Wypowiedziała te słowa, zanim sobie zdała sprawę, co robi.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Proszę - błagała.  
- Dobrze - odpowiedział - konie czekają na zewnątrz. Parę minut później wyjechali z doliny na nagą, kamienistą pustynię.

Konie jechały szybko, więc Nevada musiała krzyknąć, by zapytać:

- Daleko jest do Sakjeny?  
- Około pięciu mil - odparł Tyrone Strome.  
- Trzęsienie ziemi w tej okolicy to z pewnością niezwykle wydarzenie.

- W tym rejonie świata trzęsienia ziemi zdarzają się często - wyjaśnił - ale gdy nie ma ofiar, przeważnie pozostają nie zauważone.

Nevada pragnęła zadać tysiące pytań, ale trudno było rozmawiać jadąc z taką prędkością. Poza tym musiała skupić się na tym, by utrzymać się na końskim grzbiecie.

Niełatwo było jechać w siodle bez wzniesionego łęku. Chociaż miało kształt wysokiego dziecięcego fotelika, dającego jako takie wsparcie, potrzebna była niemała umiejętność jazdy.

Jechali dalej i znaleźli się znów w krainie nagich, wysokich skał, chropowatych, górskich kanionów i jałowych dolin, urozmaiconych wyschniętymi pasami pustkowia pokrytego głazami.

Gdy wynurzyli się z wąwozu, dostrzegli szereg zabudowań przy wysokim skalistym urwisku. Tyrone krzyknął:

- Sakjena!

Nad Sakjeną wisiał gruby całun kurzu. Dopiero gdy podjechali bliżej, Nevada zorientowała się, że to, co z daleka wydawało się być domami, było ogromną stertą gruzu.

W ruinach dostrzec można było przemieszane ze sobą fragmenty dachów, ścian i drzwi oraz głazów, które runęły ze wzniesień. Wśród całego tego chaosu widać było sylwetki mężczyzn i kobiet, krzyczących w rozpacz lub nawołujących tych, których stracili.

Hałas rozdzierał uszy. Wjechawszy pod górę, tam, gdzie kiedyś była wieś, dostrzegli kolorowe skrawki podartej odzieży, błyszczące w słońcu mosiężne puchary i małe przedmioty domowego użytku, wszystko połamane i pokryte kurzem.

Cały ogrom nieszczęścia uzmysławiał dopiero widok ciał zmarłych, leżących wśród rumowiska.

Gdy Tyrone zeskoczył z siodła, Nevada zauważyła mężczyznę wspinającego się po gruzowisku, zmierzającego w ich kierunku. Ze zdumieniem stwierdziła, że był ubrany po europejsku.

Gdy doszedł do nich, dostrzegła na jego szyi koloratkę duchownego.

Tyrone przekazał konia pod opiekę małemu chłopcu, po czym odwrócił się i krzyknął:

- Wielebny ojciec! Co za niespodzianka! Kto mógłby przypuszczać, że się tutaj spotkamy!

- Ja również nie spodziewałem się, panie Strome. Mówili po angielsku, duchowny z silnym szkockim akcentem.

- Przyjechałem, jak tylko usłyszałem o tym nieszczęściu - rzekł Tyrone. - Czy wiele osób zasypało?

- Dość dużo.

- Musimy coś z tym zrobić.

Mówiąc to zszedł Nevada z konia, a inny arabski chłopak ujął cugle i odprowadził go w cień nielicznych drzew palmowych.

- Nevada, pozwól, że ci przedstawię wielbnego Andrew Frazera - rzekł Tyrone Strome. - Jest doskonałym lekarzem, a równocześnie bardzo szanowanym misjonarzem.

- Pochlebia mi pan, panie Strome! Duchowny potrząsnął ręką Nevada bynajmniej nie zdziwiony jej obecnością.

- Panna van Arden jest Amerykanką, zwiedzającą Maroko - wyjaśnił Tyrone. - Jak już znajdzie pan miejsce, gdzie można zbudować szpital, wesprze pana finansowo.

Nagle podeszła do nich kobieta z małym chłopcem na ręku. Cała była pokryta kurzem i zawodziła głośno.

Dziecko albo było nieprzytomne, albo już nie żyło. Z ran na czole i spod rozerwanej skóry na nodze obficie płynęła krew.

Tyrone podszedł i wziął dziecko od kobiety, która ledwo była w stanie je utrzymać.

Chwilę przyglądał się chłopcu, potem podał dziecko Nevada mówiąc:

- Jeszcze żyje! Matka nie jest w stanie się nim zająć. Idź z panem Frazerem. Powie ci, co masz robić.

Prawie automatycznie, zbyt zaskoczona, by coś powiedzieć, wzięła dziecko na ręce, odrzucając do tyłu okrywający ją haik.

- Proszę iść ze mną, panno van Arden - powiedział Andrew Frazer.

Przez następne parę godzin Nevada nie miała czasu myśleć o niczym innym, jak tylko o dzieciach, które przynoszono jej jedno po drugim.

Jeżeli były zbyt ranne, by je bandażować, albo rany wymagały zszywania, odnosiła dzieci do Frazera.

Duchowny miał pełne ręce roboty z dorosłymi ofiarami trzęsienia ziemi, które zwykle w takich kataklizmach odnosiły poważniejsze obrażenia niż dzieci.

Nauczony wcześniejszymi doświadczeniami wyszukał ocalały fragment jakiegoś domu, by tam zajmować się pacjentami.

Był tam nawet fragment dachu, chroniący teraz przed słońcem, a pomieszczenie na tyłach, w którym pozostały jeszcze ślady dawnego dobrobytu, przypadło w udziale Nevadzie i znajdującym się pod jej opieką dzieciom.

Większość dzieci leżała na podłodze, jedno czy dwoje na wygrzebanych z rumowiska materacach, a pozostałe na liściach palmowych.

Ze wszystkich niedogodności kurz dokuczał najbardziej. Wciskał się do oczu i gardła, docierał do ran, utrudniając ich oczyszczenie przed zabandażowaniem.

Dzieci płakały ze strachu i bólu, lecz ich płacz nie był tak dokuczliwy jak zgiełk, który robili ich rodzice, opłakujący stratę dobytku i pełni obaw o los swoich krewnych.

Nevada sądziła, że bez trudu zdoła namówić do pomocy parę kobiet, lecz szybko zrozumiała, że nie były w stanie jej pomóc, zbyt przejęte i zszokowane kataklizmem.

Ich płacz i histeria sprawiały, że dzieci stawały się jeszcze bardziej nerwowe. Andrew Frazer musiał więc, zwracając się do nich w ich ojczystym języku, przekonać je, by pozostawały na zewnątrz zaimprovizowanego szpitala.

Na szczęście, po jakimś czasie zmęczyły się płaczem, a może kurz dławił im gardła, dość, że przycichły i nastąpiła cisza przerywana cichym szlochaniem.

Nevada wiedziała, że w tym samym czasie Tyrone wytrwale pracował, wydostając spod gruzów ludzi

przygniecionych zburzonymi domami i głazami spadającymi z granitowego urwiska, przy którym była zbudowana wioska.

Coraz więcej osób leżało w cieniu palmowych drzew po udzieleniu pomocy. Poprzykrywani byli skrawkami znajdującej się pod ręką ocalałej odzieży.

Było wiele osób ciężko rannych i jeszcze nieprzytomnych, którym umiejętności Andrew Frazera przywróciły życie.

Minęło południe, upał stale się wzmaczał, a mimo to mężczyźni pracujący pod rozkazami Tyrone'a Strome'a nadal odkopywali pogrzebanych pod gruzami ludzi.

Nevada nie mogła powstrzymać myśli, że już dawno zrezygnowaliby z poszukiwań, gdyby Tyrone nie pobudzał ich do podejmowania kolejnych wysiłków.

Do późnego popołudnia nie dotarła żadna pomoc z sąsiedztwa.

- Wysłałem do Tiznetu posłańca z długą listą moich żądań - wyjaśnił Frazer Nevadzie, gdy zapytała, czy nie ma więcej bandaży. - Zawsze mam trochę zapasów, lecz to za mało przy tak dużym kataklizmie.

- Trzeba zmienić dzieciom opatrunki - powiedziała Nevada.

Szkot uśmiechnął się.

- Obawiam się, że będą musiały poczekać, panienko. Doskonale pani sobie radzi. Pewnie jest pani okropnie zmęczona.

- Jestem bardzo spragniona - przyznała Nevada.

Podał jej bukłak z wodą. Była jeszcze bardziej słona niż ta, którą piła wtedy przy oazie.

- Sadzę, że pan Strome znajdzie później coś do jedzenia.

- Nie jestem głodna - odpowiedziała Nevada. - Pragnęłabym tylko, być jeszcze bardziej przydatna. Gdy znajdzie pan chwilę czasu, chciałabym, by pan przyjrzał się,

czy przypadkiem nie zawiążę bandażu zbyt ciasno. Obawiam się, że nie mam w tym dużego doświadczenia.

- Robi to panienka doskonale - odparł Andrew Frazer, a Nevada uśmiechnęła się. Milszego komplementu nie mogła chyba usłyszeć.

Nagle podbiegł mały chłopiec i powiedział coś zdyszonym głosem.

- Co się stało? - zapytała Nevada.

- Pan Strome przesyła wiadomość, że odkopali jeszcze parę osób. Kilka z nich nie żyje, pozostałych natomiast przyniosą do nas za parę minut.

- Co pocniemy bez bandażu? - zapytała Nevada. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Mój haik jest może gruby, lecz przynajmniej dość czysty. Możemy go porwać na pasy.

- To dobry pomysł, panno van Arden - przyznał Andrew Frazer - lecz łatwiej będzie to zrobić nożyczkami.

Podał jej nożyczki, a Nevada usiadła i zaczęła ciąć.

Gdy Tyrone zszedł ze sterty gruzu i kamieni, słońce już zachodziło w płomiennej aureoli. Powoli, znużony skierował się do miejsca, gdzie zajmowano się rannymi.

Duchowny właśnie przykrywał twarz starszego człowieka, który zmarł przed chwilą.

Gdy podniósł się, Tyrone Strome rzekł:

- Nie sadzę, byśmy mogli jeszcze kogoś znaleźć. Nawet jeśli są tam jeszcze jacyś nieszczęśnicy, z pewnością już nie żyją.

Mówiąc to wycierał czoło wierzchem dłoni, pozostawiając na nim pasma szarego kurzu, pokrywającego całą twarz.

Popatrzył zmęczonym wzrokiem, a Andrew Frazer, domyślając się, że jest spragniony, podał mu bukłak mówiąc:

- Nie wiem, co byśmy bez pana zrobili, panie Strome.



- Sądzę, że mieszkańcy Sakjenu mieli szczęście, że obaj tu byliśmy.

Spojrzał na leżących na podłodze rannych i dodał:

- Większość rannych z pewnością by umarła bez pańskiej pomocy.

- Tak, to istotnie szczęście, że byłem w pobliżu - powiedział Szkot. - Bóg sprawił, że tu przybyłem.

- Mogę tylko dodać „amen” - powiedział Tyrone z błyszczącymi oczami. - Czy przekazał pan do Tiznetu listę potrzebnych rzeczy?

- Tak, dotrze wszystko do rana. Niech pan już jedzie do domu, póki jest jeszcze dość widno, by nie zabłądzić. Uporałem się już ze wszystkim, również dzięki panie van Arden.

Tyrone rozejrzał się dookoła.

- Gdzie ona jest?

- Jest z dziećmi, pracowała wspaniale, naprawdę wspaniale. Nie wiem, jak bym sobie dał radę bez niej.

Tyrone Strome poszedł na tył zrujnowanego domu.

Na podłodze, przy dzieciach, leżały matki, które prosiły, by pozwolono im zostać z dziećmi.

W drugim końcu czegoś, co niegdyś było pokojem, Tyrone dostrzegł Nevadę.

Leżała na gołej podłodze z głową opartą na czymś, co przypominało zwinięte w kłębek szmaty.

Jej biały kaftan był pokryty kurzem i plamami krwi.

Lewą ręką przytulała do piersi małe dziecko z zabandażowaną głową, a drugą obejmowała małą może sześciolletnią dziewczynkę.

Wszyscy troje spali. Tyrone przyglądał się im w zamyśleniu. Na zakurzonej twarzy Nevady widniały smugi - ślady po płynących łzach. Na ustach rysował się słaby uśmiech.

Patrzył chwilę na nią. Potem wyjął z jej objęć maleństwo i ostrożnie, by się nie obudziło, położył na materacu przy innym śpiącym dziecku.

Gdy próbował podnieść dziewczynkę, Nevada obudziła się.

- Co... się dzieje? - zapytała.

- Nic już nie możesz dla nich zrobić - odparł Tyrone Strome. - Zabiorę cię do domu.

- Ja... chcę spać.

- Nic dziwnego - odpowiedział. - Pracowałaś bardzo ciężko i pewnie jesteś strasznie głodna.

Uśmiechnęła się do niego trochę nieprzytomna, jakby nie całkiem rozumiała, co mówi. Podniósł dziewczynkę i ułożył ją ostrożnie kładąc jej policzek na zawiniątku ze szmat, na których wspierała głowę Nevada.

Dziecko nawet nie poruszyło się.

Nevada stała czekając na niego, a on objął ją ramieniem i poprowadził tam, gdzie czekał na nich Andrew Frazer.

- Przyjadę tu znowu rankiem - rzekł Tyrone. - Zarówno ja, jak i panna van Arden chcemy ofiarować jakiś datek na odbudowę wioski. Czy może pan powiadomić o tym zainteresowane osoby?

- Ciągle jestem panu za coś wdzięczny, panie Strome - odparł Andrew Frazer. - Nie wiem, jak mam dziękować.

- Jest to pewnego rodzaju ofiara dziękczynna - uśmiechnął się Tyrone Strome. - Niedawno razem z panną van Arden uniknęliśmy ogromnego niebezpieczeństwa, więc może jest to najlepszy sposób okazania opatrności naszej wdzięczności.

- Wie pan, że nie odrzucę niczego, co zechce pan ofiarować - odparł duchowny. - Proszę zabrać panienkę do domu, zapracowała sobie na odpoczynek.

Tyrone objął Nevadę i zauważył, że jest tak śpiąca, że nawet nie wie, co się z nią dzieje.

Konie cały czas znajdowały się pod opieką chłopców. Tyrone porozmawiał chwilę ze starszym z nich. Potem posadził Nevadę przed sobą na siodle, objął ją mocno i skierował się w stronę Taфраout.

Było już ciemno, ale drogę oświetlały jasno świecące na niebie gwiazdy, nie mogli więc zabłądzić.

Przez ostatnie dwie mile drogę wyznaczały światła Taфраout, Gdy podjechali do bram kasbahu, Nevada otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że przez całą drogę do domu spała.

Znowu miała poczucie bezpieczeństwa, takiego jak wtedy, gdy panicznie bała się porwania przez jeźdźców szejka.

- Jak mogłam spać w jego objęciach, z głową na jego ramieniu? - nie mogła pojąć.

Tak bardzo pragnęła, by kiedyś przytulił ją mocno do siebie. Była bliska płaczu ze złości, że gdy pragnienie się spełniło, nie była tego świadoma.

Usłyszała okrzyki powitań służby kasbahu. Domyśliła się, że to właśnie ich głosy rozbudziły ją.

Tyrone przejechał przez wrota, a chwilę później byli już przed drzwiami prowadzącymi do domu.

- Jesteśmy... w domu! - mruknęła.

- Tak, w domu - odpowiedział. Zsadził ją z konia i zaprowadził do sypialni.

- Nie możesz pójść spać, dopóki czegoś nie zjesz - rozkazał. Przypuszczam, że przedtem chciałybyś się umyć.

Posadził ją na brzegu łóżka i wyszedł z pokoju. Natychmiast weszła pokojówka z gorącą wodą i czystymi ręcznikami.

Znużona, czując, że każdy ruch sprawia jej nadzwyczajną trudność, wstała, a zerknąwszy na siebie w lustro krzyknęła z przerażenia.

Widok szarej od kurzu twarzy i włosów, związanych z tyłu jakąś znajoną gdzieś, poszarpaną wiatrem, szmatą to jedyna rzecz, która mogła ją całkiem rozbudzić.

Suknia była cała poplamiona krwią i brudna.

Godzinę później, z mokrymi jeszcze włosami, dołączyła do Tyrone'a siedzącego już na dziedzińcu. Kaftan, który teraz założyła, w najmniejszym stopniu nie przypominał tamtego ohydneho, poplamionego krwią stroju, który kazała pokojówce zaraz wyrzucić.

Gdy podeszła, wstał i bez słowa wsunął w jej rękę kieliszek z winem.

- Jeżeli wypiję, zanim coś zjem, będę pijana.

- Nie przejmuj się - odpowiedział. - Jeżeli się upijesz, odprowadzę cię do łóżka.

Roześmiała się, policzki lekko zaróżowiły się od wina.

Prawie natychmiast podano kolację. W miarę jedzenia znużenie i senność ustępowały.

Oboje jedli w milczeniu, dopiero gdy służba się wycofała, Tyrone powiedział:

- Musisz iść do łóżka. Przedtem chciałbym powiedzieć ci, że byłaś wspaniała.

Ton jego głosu zaskoczył Nevadę, spojrzała na niego. Przyglądał się jej, więc zawstydzona odwróciła wzrok.

- Bałam się... - powiedziała - bardzo bałam się, żeby nie popełnić... jakiegoś błędu, ale pan Frazer był ze mnie zadowolony.

- Bardzo zadowolony - potwierdził Tyrone. - Powiedział, że bez ciebie nie poradziłby sobie.

- I bez ciebie! To ty uratowałeś tych wszystkich ludzi. Gdyby cię tam nie było, lamentowaliby tylko nic nie robiąc.

- Ludzie proszą się wszędzie tacy sami - tłumaczył Tyrone.  
- Potrzebują przewodnictwa. Wtedy dopiero zachowują się wspaniale.

- I to właśnie im ofiarowałeś - powiedziała cicho Nevada.  
- Ja wyostałem rannych spod gruzów, ale gdybyś ty nie zaopiekowała się dziećmi, z pewnością by tego nie przeżyły.  
- Tak cierpiały te maluchy, a mimo to były bardzo dzielne - powiedziała Nevada.

Łzy napłynęły jej do oczu. Pewnie dlatego, że jestem zmęczona - pomyślała. Jedno dziecko umarło w jej ramionach. Nigdy tego nie zapomni.

Zamrugła oczami, aby powstrzymać łzy. Poczula się zakłopotana, że Tyrone to dostrzegł.

Przyglądał się jej. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy, więc spojrzała na ręce. Stwierdziła ze zdziwieniem, że miała połamane paznokcie, a skóra na palcach była twarda jak nigdy przedtem.

- Musisz iść spać - zdecydował Tyrone. - Jutro porozmawiamy o wszystkim.

- Co znaczy o wszystkim? - dopytywała.

- O tobie - odpowiedział.

Spojrzała na niego zdumiona. Zauważyła błysk w jego oczach, co sprawiło, że jej serce zabiło tak gwałtownie jak bębny muzyków przygrywających tancerkom.

Nagle przypomniała sobie ruchy tancerki tańczącej guedrę. Poczula, jakby lodowata dłoń ścisnęła jej serce.

Tyrone Strome chciał z nią rozmawiać. Cokolwiek jednak chciałby jej powiedzieć, to na pewno nie było to, co pragnęłaby usłyszeć.

Wiedziała aż za dobrze, że nią pogardza i jaki cel mu przyświeca.

Widziała, zupełnie jak na jawie, węzowe ruchy wirujących rąk tancerki, drzenie całego ciała, półprzymknięte powieki, rozchylone usta i długie czarne włosy opadające na nagie piersi.

Taniec, który stał jej przed oczami, był jak fatamorgana. Zmusiła się, by wstać.

- Masz rację - powiedziała głosem, który, miała taką nadzieję, brzmiał naturalnie. - Jestem bardzo zmęczona. Dobranoc.

Również wstał, a gdy przechodziła koło niego, ujął jej rękę i podniósł do ust.

- Śpij dobrze, Nevado - powiedział. - Dziękuję ci z całego serca.

## Rozdział 7

Po przebudzeniu Nevada uświadomiła sobie, że w pokoju jest gorąco, i że jest późniejsza pora, niż jej się na początku zdawało.

Wskazywało na to świecące jaskrawo słońce przedzierające się poprzez kotary w oknach.

Uświadomiła sobie, że spała długo i głęboko, nie przerywanym snem. Spojrzała na zegar przy łóżku i krzyknęła zdumiona.

Już po dwunastej!

Zadzwoniła małym, srebrnym dzwonkiem. Natychmiast zjawiała się służąca.

- Późno, bardzo późno! - powiedziała Nevada wskazując na zegar.

- Pan kazał pani nie budzić - odparła w swoim języku.

Nevada domyśliła się, co też próbowała jej zakomunikować służąca, a równocześnie była zła, że jej nie obudzono.

To oznacza, że Tyrone Strome sam wyruszył do Sakjeny, a ona przecież tak bardzo chciała z nim jechać i zobaczyć, czy przypadkiem nie mogłaby jeszcze jakoś pomóc mieszkańcom nawiedzonej kataklizmem wioski.

Pokojówka wyszła i wróciła niosąc na tacy śniadanie.

Nevada usiadła i zaczęła jeść, urażona faktem, że dzisiaj nie je śniadania z Tyrone'em tak jak każdego ranka od pierwszego dnia pobytu w kasbahu.

Początkowo była zbyt zajęta wmawianiem sobie, że go nienawidzi, by uświadomić sobie, jak też może być interesujące zjedzenie śniadania sam na sam z mężczyzną.

Potem, stopniowo, piękno dziedzińca, chłodny powiew wiatru dochodzący z wysokich gór, zapach kwiatów i świergot małych afrykańskich ptaszków, wszystko to razem sprawiło, że śniadania nabrały swoistego uroku.

I właśnie tego ranka, po tym wszystkim, co się wydarzyło wczoraj, gdy chciała zadać tysiąc pytań i gdy tyle chciała się dowiedzieć, sam zjadł śniadanie i odjechał do Sakjeny.

Musiała jednak przyznać uczciwie, że wciąż była bardzo zmęczona.

Wczorajszy dzień był przecież tak długi i wyczerpujący.

Czuła jeszcze przerażenie, które ogarnęło ją w chwili, gdy bandażowane dziecko umierało i nic nie mogła zrobić, by je uratować.

Gdy dziecko zamknęło powieki i wydało ostatnie tchnienie, zaniósła je do Frazera.

Wziął je od niej, obejrzał rany na czole, które z pewnością musiała spowodować spadająca skała, i powiedział cicho:

- Nic nie możemy już zrobić, panienko, małeńka dziecina odeszła do Boga.

Powiedziawszy to, odwrócił się i położył małe ciało przy innych, gotowych do pogrzebania. Gdy Nevada wracała do żyjących dzieci, po jej policzkach płynęły łzy.

Wydawało się, że głupio jest rozpaczać nad stratą jednej istoty, gdy tak wiele istnień straciło życie w wyniku trzęsienia. Czuła się jednak w jakiś sposób odpowiedzialna za to, że nie może zrobić nic więcej.

Skończyła jeść śniadanie, położyła się znowu i dała znak pokojówce, by ta odłoniła kotary na oknie.

Słońce zalało pokój, wnosząc ze sobą żar, ale Nevada skupiła się wyłącznie na uroku różowych granitowych urwisk pod czystym błękitnym niebem.

- Mały eden - tak nazywał Tyrone dolinę i rzeczywiście dla niego, oraz dla każdego, kto tu zamieszkał, była rajem. Lecz ona, tak naprawdę, nie miała tu swego miejsca.

Poprzedniej nocy powiedział: Porozmawiamy o tobie.

Zastanawiała się, co też mógł mieć na myśli. Była prawie pewna, że chciał porozmawiać o jej powrocie do domu.



Nie wiedziała, skąd wzięło się to przekonanie. Po prostu czuła, że zbliża się koniec, tak jak koniec rozdziału, albo raczej jak koniec jego książki. Ich związek, obcowanie, czy cokolwiek by to było, dobiega końca.

Może dość ma już wymierzania kary, może nie jest już nią zainteresowany, może chce być sam, jak zawsze wtedy, gdy przyjeżdżał do różowego kasbahu.

Jakikolwiek by nie był powód, wiedziała, że choć pragnie go zobaczyć, równocześnie bardzo obawia się jego powrotu.

Pełna niepokoju i trwożnych myśli, bardziej zmęczona niż jej się zdawało, musiała chyba znowu zasnąć, bo gdy ocknęła się, stwierdziła ze zdumieniem, że upał zelżał i było już późne popołudnie.

Zadzwoiła gwałtownie dzwoneczkiem przy łóżku, a gdy pokojówka pośpiesznie nadeszła, zaczęła się bardzo szybko myć i ubierać w obawie, że Tyrone po powrocie zastanie ją rozleniwioną i próżnującą.

Jednak gdy przeszła z sypialni do pokoju gościnnego stwierdziła, że nigdzie go nie ma. Podeszła do biurka i zerknęła na książkę, nad którą nie pracował już drugi dzień.

- Może już skończył - pomyślała zdając sobie sprawę, że jeżeli istotnie tak jest, to ona nie jest mu już dłużej potrzebna.

Zapragnęła poczuć bliskość wszystkiego, co należało do niego; błdziła palcami dotykając pióra, którym pisał książkę, bibularza z czerwonej skóry, takiej samej, z której były zrobione jego buty, podstawki na pióra, przycisku do papierów i wielu innych przedmiotów leżących na biurku.

Wiedziała, że każdy przedmiot stanowił dla niego szczególną wartość.

Potem, pełna niepokoju, zaczęła błąkać się po dziedzińcu.

Podeszła do fontanny, słysząc jak woda szemrze dzwoniąc spadającymi kroplami o kamienny mur.

Pamiętała jak szydziła z tego miejsca mówiąc, że jest romantyczne, a tymczasem okazało się, że stało się ono dla niej najcudowniejszym miejscem na świecie.

- Zakątek dla zakochanych - rzekła do siebie czując, jak na samą myśl, oblewa się rumieńcem.

Jakże często naigrawała się i szydziła z zakochanych! Jakże często drwiła z mężczyzn, tak jak z Davida, gdy wyznawali jej miłość i błagali, by wyszła za nich za mał!

- Skąd mogłam wiedzieć, że to takie uczucie? Dotychczas myślała, że miłość to oznaka słabości i sentymentalizmu.

Tymczasem czuła ból i męczarnie, rosnące chyba z każdą godziną i z każdym dniem, co stawało się nie do zniesienia.

- Jak można z tym żyć? - zadawała sobie pytanie, ale wiedziała, że jeżeli przestanie go widywać, jeżeli odejdzie z jej życia, będzie jeszcze gorzej.

Myśli miała napięte, cała jej istota oczekiwała na jego powrót i rozpaczliwie domagała się jego obecności. Wróciła do pokoju gościnnego i stanęła przy oknie, wyglądając na dolinę.

Różowe urwiska w złotych promieniach zachodzącego słońca były purpurowe jak ametysty ukryte gdzieś wysoko w górach.

- To najpiękniejsze miejsce na świecie - myślała w duchu Nevada. - Jeżeli je opuszczę, pewnie nigdy już tu nie powrócę.

Było jasne, że jedynie Tyrone Strome mógł ją przewieźć przez to niebezpieczne, skaliste odludzie.

Miał specjalne przywileje - inni Europejczycy, oczywiście z wyjątkiem wielebnego Andrew Frazera, nie mieli prawa wstępu do tej części Maroka.

Słońce opuściło się jeszcze niżej złocąc wierzchołki kasbahu i otulając całą dolinę złoto - różowym blaskiem.

Nagle dostrzegła go. Jechał w jej stronę, tak samo jak wtedy, gdy uświadomiła sobie, że go kocha.

Teraz nie miała wątpliwości, że otaczająca go aureola, to nie były tylko promienie słońca, ale też emanacja przebijająca się gdzieś z głębi jego wnętrza.

Jechał szybko, jakby spiesząc do domu. Poczowała skrępowanie, odwróciła się więc od okna, przeszła przez pokój, usiadła na kanapie i tam czekała na jego przyjście.

Słyszała, jak mówił coś do służby, potem wszedł. Serce zabiło jej tak gwałtownie, że przez chwilę nie była w stanie mówić.

Patrzyła na niego. Jej ogromne oczy zdawały się wypełniać całą twarz.

- Jesteś zmęczony?

Uśmiechnął się, przeszedł przez pokój i położył coś na biurku.

- Chciałam... jechać z tobą,

Mówiąc to, Nevada wiedziała, że robiąc mu wymówki popełnia błąd. Jednak żal, że pojechał sam był tak głęboki, iż nie mogła się powstrzymać.

- Byłaś bardzo zmęczona - powiedział. - Poza tym, nie było tam już dla ciebie żadnej pracy.

- Jesteś tego pewien?

- W zupełności. Andrew Frazer o świcie pogrzebał zmarłych, dostarczył jedzenie i bandaże przywiezione z Tiznetu, a najciężej rannych odwieziono do miasta.

- A... dzieci?

Nevada zadała to pytanie pełna niepokoju o ich los.

- Większość dzieci prawie już wyzdrowiała i teraz są już ze swymi rodzicami. Dla kilku sierot muszę znaleźć jakiś dom. Kaid z Tiznetu zgodził się nimi zaopiekować.

Mówiąc to podszedł do Nevady i usiadł przy niej na kanapie.

Służący podał mu filiżankę herbaty miętowej. Chwilę popijał, po czym rzekł:

- Obiecałem, że wyślę im też jakąś sumę pieniędzy. Czy chciałabyś również ich wspomóc?

- Ależ oczywiście! - podchwyciła szybko Nevada. - Wiesz przecież, że tak.

- Byłem pewien, że tak powiesz - odpowiedział - choć prawdę mówiąc potrzeba ich nie tak znów wiele. Dolary amerykańskie i funty angielskie mają tu w Maroku dużą wartość.

- Chyba wiesz, że nie dbam o pieniądze.

- Wiem o tym.

Wszedł służący, by zabrać pustą filiżankę i zapytać, czy życzy sobie jeszcze herbaty.

Tyrone pokręcił przecząco głową. Służący wyszedł i znowu zostali sami.

Tyrone wstał i podszedł do okna, by wyjrzeć na dolinę.

- Zabrałem ze sobą Frazera - powiedział.

- Czy się tu zatrzyma? - dopytywała Nevada.

- Nie. Kaid miasta jest jego przyjacielem. Ocalił życie jego synowi. Zamierza namówić go, by użyczył mieszkańcom Sakjeny swoich budowniczych. Chce, by pomogli odbudować zniszczoną wioskę. Słyną ze swych nadzwyczajnych umiejętności w całym południowym Maroku.

- Ja też mogłabym jakoś pomóc - rzekła Nevada.

- Tak pomyślałem. Pamiętasz chyba, że zaproponowałem mu to wczoraj.

- Tak, pamiętam. Potem dodała:

- Ciekawe, jak będzie wyglądała wioska zbudowana przez budowniczych z Taфраout w innym miejscu niż ich dolina. Zdaje się, że grunt w Sakjenie ma inną barwę.

- Tak, w istocie byłoby to bardzo interesujące - powiedział Tyrone. - Może kiedyś, gdy już zakończą pracę, będziesz mogła przyjechać i przekonać się o tym.

Nevada siedziała nieruchomo.

Tyrone, odwrócony do niej tyłem, ciągnął dalej:

- Wczoraj wieczorem powiedziałem, że powinniśmy porozmawiać o tobie. Może teraz jest na to najlepsza pora.

- Co chcesz mi... powiedzieć?

- To, co z pewnością chciałabyś usłyszeć. Możesz jechać do domu.

Nevada wzięła głęboki oddech. Potem z wysiłkiem i dziwnie brzmiącym głosem zapytała:

- Dlaczego... podjąłeś decyzję... by pozwolić mi... wyjechać?

Odwrócił się, przeszedł przez pokój i usiadł przy niej na kanapie.

- Chciałem powiedzieć, że lekcja, albo raczej kara, jeśli wolisz, skończyła się. Ostatni egzamin zdałaś z wyróżnieniem!

- Co masz... na myśli?

- Po tym, jak wczoraj ciężko pracowałaś, byłbym bardzo niesprawiedliwy, gdybym nie zwrócił ci wolności.

Nevada nie powiedziała nic, więc ciągnął dalej:

- Pytałaś mnie, dlaczego gram wobec ciebie rolę samego Boga. To było dobre pytanie i zasługuje na odpowiedź.

Mówiąc to spojrzał na nią pytająco, jakby oczekując, że coś powie. Ponieważ Nevada nadal milczała, rzekł:

- Czy już nie chcesz wiedzieć?

- Chcę... oczywiście, że chcę.

- Otóż, mimo że mnie rozgniewałaś, wiedziałem, że warta jesteś tego, by ratować cię przed samą sobą.

- Sądzisz... że właśnie tego dokonałeś? W głosie Nevady był cień przekory.

- Gdy wczoraj zobaczyłem łzy na twojej twarzy - powiedział łagodnie - gdy zobaczyłem cię wtedy, jak spałaś, trzymając dzieci w swoich ramionach, wiedziałem, że jesteś kobietą, niezależnie jak bardzo byś temu zaprzeczała!

- To chyba niedobrze - Mruknęła Nevada - że trzeba było aż trzęsienia ziemi, by przekonać się o tym.

- Jeśli nie byłoby to trzęsienie ziemi, byłoby coś innego - odparł Tyrone. - Skarb był ukryty, tylko musiałem głęboko kopać, by do niego dotrzeć.

Nevada wstała i podeszła do otwartego okna.

- A teraz... odprowadzasz mnie - powiedziała - do tamtego życia i tamtej egzystencji?

- Do życia, którym żyłaś przedtem. Sądzę jednak, że teraz będziesz patrzeć na wszystko inaczej i wpływ innych ludzi na ciebie będzie też inny.

- I sądzisz, że właśnie tego... pragnę?

Stała do niego tyłem, lecz domyśliła się, że wzruszył ramionami. Po chwili powiedział:

- Nadal będziesz miała ogromne powodzenie, ale zdaje mi się, że teraz będziesz nieco uprzejmiej traktować młodych mężczyzn, kochających cię, beznadziejnie zauroczonych twymi zielonymi oczami i płomiennymi włosami.

- A jeżeli ja... nie jestem zauroczona... nimi? Wymówiła te słowa, choć przyszło jej to z trudnością.

- Czego chcesz od życia, Nevado? Czego szukasz? Głos jego głośno huczał w ciszy pokoju.

Często zadawała sobie to pytanie i aż za dobrze znała na nie odpowiedź, nigdy mu jednak tego nie powie.

- Czego pragniesz? - zapytał znowu Tyrone.

- Chcę... chcę... zostać tutaj - odpowiedziała - tu w Maroku. Mogłabym... pracować z panem Frazerem... mogłabym zbudować sierociniec dla dzieci, takich jak te, dla których musisz znaleźć dom.

Mówiła to z wahaniem w głosie. Zaskoczył ją ton głosu Tyrone'a, gdy mówił:

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co powiedziałaś?

- Tak, naturalnie, że zdaję sobie sprawę! Teraz wiem na pewno, że właśnie tego pragnę. Nie mogę... tam wrócić... nie mam... na to ochoty... tam nie ma dla mnie miejsca.

- Co przez to rozumiesz?

Odwróciła się. Wpatrywał się w nią. Widziała jego surową twarz, zdawało się jej, że odrzuci taką prośbę.

Wiedziała, że mógł jej utrudnić, lub wręcz uniemożliwić pobyt w Maroku, i że musi przekonać go o swojej szczerości. Powiedziała więc drżącym głosem:

- Co mam uczynić... byś zrozumiał? Aż za dobrze wiem, co o mnie myślisz... ale ja się zmieniłam. Przysięgam, że się zmieniłam... To nie jest kaprys... To nie jest, jak ci się pewnie zdaje, zachcianka bogatej kobiety, by mieć nową zabawkę. Nigdy przedtem nic nie miało dla mnie takiego znaczenia jak właśnie to.

- Czy naprawdę aż tak się zmieniłaś, niemal z dnia na dzień? - zapytał Tyrone.

- Może to nie jest całkowita zmiana - odparła Nevada - po prostu w przeszłości nie miałam możliwości zajmowania się czymkolwiek, z wyjątkiem tego, do czego mnie przyuczono. Miałam bawić się, być zabawianą i wydawać pieniądze wyłącznie na własne potrzeby.

Miała wrażenie, że nadal nie był przekonany, więc dodała:

- Opowiem ci... coś, co być może sprawi, że zrozumiesz, dlaczego jestem właśnie taka.

Spojrzała na niego błagalnie. Po chwili rzekł cicho:

- Słucham cię.

- Nie zamierzam... się tłumaczyć. Chcę ci tylko opowiedzieć. Nikt inny tego nie zrozumie... ty też może tego nie zrozumiesz.

- Postaram się - zachęcił Tyrone.

- Moja matka umarła, gdy miałam osiem lat - zaczęła Nevada. - Byłam bardzo z nią związana. Śmierć jej byłaby dla

mnie jeszcze większym ciosem, gdybym nie spędzała tak dużo czasu z nianią i moimi rówieśnikami. Nie mogłam uwierzyć, że na zawsze ją straciłam.

Nie powiedziała nic więcej, lecz w jej słowach wyraźnie było słycać żałosny, tragiczny ton. Tyrone zrozumiał, że nadal cierpiała, tak jak wtedy gdy była dzieckiem, zdezorientowanym śmiercią kochanej osoby.

- Po stracie matki - ciągnęła Nevada - przelałam swoje uczucia na ojca. Kochałam go i rozpaczliwie pragnęłam, by odwzajemniał moją miłość. Liczyłam godziny czekając wieczorami na jego przyjście, a gdy był w domu, starałam się spędzać z nim każdą chwilę.

Odwróciła się, by wyrzecz na dolinę i milczała przez chwilę. Potem dodała: - . Pewnego wieczora wbiegłam do gabinetu, aby się z nim przywitać i powiedzieć, jak bardzo za nim tęskniłam. Wtedy usłyszałam, jak mówił do jednej ze służących:

„Przynieś mi drinka i na miłość boską trzymaj dziecko z daleka ode mnie. Nie mam dla niej czasu”.

Tyrone domyślił się, że Nevada jeszcze nigdy nikomu nie opowiadała o tym, co wtedy przypadkiem usłyszała. Patrząc na jej twarz zrozumiał, jaki był to dla niej szok.

- Gdy moja matka umarła, płakałam - mówiła Nevada zdławionym głosem - ale gdy straciłam ojca, nie uroniłam ani jednej łzy. Miałam tylko wrażenie, jakbym była sama na całym świecie, teraz tak dla mnie nieprzyjaznym.

Przerwała na chwilę i kontynuowała, mówiąc z trudem:

- Sadzę... że mój ojciec miał jednak jakieś poczucie... odpowiedzialności, ponieważ zaraz po tym zdarzeniu nianię odprawiono i zatrudniono młodą guwernantkę.

Nevada roześmiała się, ale w śmiechu tym nie było cienia radości.



- Ona reprezentowała sobą wszystko to, co mnie zachwycało i co uważałam za atrakcyjne. Była przebojowa i nowoczesna, zupełnie inna niż moja stara niania. Nic więc dziwnego, że całą swoją miłość przelałam teraz na nią.

- Czy nie przyjaźniłaś się z innymi dziećmi? - zapytał Tyrone.

Nevada potrząsnęła głową.

- Nie na tyle bym miała wśród nich bliskich przyjaciół. Nie zapominaj, że byłam córką multimilionera.

Mówiła to z goryczą, prawie zjadliwie.

- Oczywiście, chodziłam na przyjęcia, lecz nie czułam się tam dobrze, i mimo że dorośli zachwycali się mną, dzieci patrzyły na mnie podejrzliwie.

Westchnęła cicho.

- Nie cierpiały tak jak ja. Musiałam wszędzie chodzić ze strażą, pilnującą by mnie nie porwano. W nocy uzbrojeni strażnicy patrolowali dom i ogród, a każdy, kto chciał się ze mną spotkać, był przedtem dokładnie sprawdzany, zanim uzyskał zgodę na widzenie.

- Czy doprawdy było aż tak źle? - zapytał Tyrone Strome.

- Gorzej... znacznie gorzej, niż mogę to wyrazić - odpowiedziała Nevada. - Wiedziałam, że nie jestem zwykłym dzieckiem, i że tak naprawdę... różnię się od innych... lecz zanim pojęłam tę różnicę, minęło sporo czasu.

- Ale miałaś dobrą guwernantkę.

- Tak... miałam Beryl Saunders - potwierdziła Nevada, ale powiedziała to w taki sposób, że Tyrone zapytał:

- Co złego zrobiła?

- Czy trzeba pytać? - odparła. - Byłam dla niej tak samo nudna jak dla ojca! Widzę teraz aż za dobrze, jak byłam nieznośna z tym swoim... uwielbieniem, z napadami... zazdrości, natarczywością i naleganiem, żeby była przy mnie na każde skinienie, przez okrągły dzień.

- Wyszła za mąż? - dopytywał Tyrone.  
- To chyba łatwiej bym zniosła - odpowiedziała Nevada. -  
Nie. Przeczytałam list, który napisała.

Znowu roześmiała się i znowu bez cienia radości.

- To była bardzo dobra lekcja, która nauczyła mnie nigdy więcej nie czytać cudzych listów.

- Co było w tym liście?

- Pewnego dnia moja guwernantka zostawiła list w bibularzu. Napisała go wtedy, gdy odrabiałam lekcje. Gdy po lunchu wracałyśmy do pokoju, w którym zwykle się uczyłam, zatrzymała się chwilę, by porozmawiać z sekretarką ojca, z którą się przyjaźniła. One zawsze plotkowały ze sobą, a ja byłam szaleńczo o nią zazdrosna. Myślałam, że bardziej lubi sekretarkę niż mnie.

- Więc przeczytałaś list?

- Otworzyłam bibularz i umyślnie go przeczytałam - powiedziała Nevada.. - Do dzisiaj nie wiem, do kogo był adresowany, może do jakiegoś młodzieńca albo kogoś z jej rodziny. Pamiętam tylko, że czytając miałam wrażenie, jakby słowa wyskakiwały na mnie jak języki ognia.

- Co w nim było?

Przez chwilę Tyrone Strome pomyślał, że Nevada nie będzie w stanie mu odpowiedzieć, potem jednak usłyszał:

- Moja ukochana guwernantka, kobieta, którą uwielbiałam, napisała:

Nie zostałam tu ani chwili dłużej, gdyby nie wysokie zarobki. Gdybyś tylko wiedział, co ja znoszę spędzając czas z tym cklwym, płaczkwym dzieckiem, nie odstępującym mnie na krok, trzymającym się kurczowo jak bluszcz, tak że nie mam nawet chwili dla siebie.

Nevada wciągnęła oddech, jakby zabrakło jej powietrza, po czym kontynuowała:

- List był długi, ale dalej już nie czytałam. To chyba wtedy przysięgłam sobie, że już nigdy więcej nikogo nie pokocham, żeby już nigdy nikt nie mógł zranić mnie tak, jak najpierw ojciec, a potem guwernantka.

- Teraz rozumiem, co czułaś - powiedział Tyrone.

- Gdy podrosłam, powzięłam decyzję, że zrobię wszystko, by inni cierpieli tak samo jak ja wtedy - mówiła dalej Nevada.

- Chciałam, aby mężczyźni zakochiwali się we mnie, bym potem mogła okazać im swoją wyższość, udowadniając, że ani im, ani nikomu na świecie nie mam nic do ofiarowania prócz obojętności.

- A teraz, zdaje ci się, że jesteś inna?

- Przypuszczam, że każdy ma swą piętę achillesową, jakkolwiek trudno czasem ją odnaleźć.

- A ty swoją odkryłaś?

- Wczoraj zrozumiałam, że będę szczęśliwa... w każdym razie szczęśliwsza niż dotychczas... jeżeli będę otoczona dziećmi.

- Więc odkryłaś, że stać cię na miłość i że możesz ofiarować innym to uczucie.

- Oczywiście, że mnie stać! - krzyknęła Nevada prawie z furją. - Miłość tkwiła we mnie przez te wszystkie lata. Chcę ją ofiarować sierotom i dzieciom będącym na łasce dobroczynności. One nie odrzucą mojej miłości, przynajmniej dopóki są jeszcze małe.

- Sądysz, że takie życie, zajmowanie się dziećmi innych ludzi, da ci pełną satysfakcję, sprawi, że będziesz szczęśliwa?

- Czy są ludzie w pełni zadowoleni? - zapytała wymijająco. - Przynajmniej nie będę odczuwała takiej pustki i samotności jak do tej pory.

Po chwili milczenia dodała, wpatrując się w niego błagalnym wzrokiem:

- Pomóż mi... wiesz przecież, że bez twojej pomocy nie osiągnę zamierzonego celu.

Wstał z kanapy i podszedł do niej. Przenikliwie wpatrywała się w jego twarz, by wyczytać z niej czy przychyli się do jej prośby.

- Musisz mi pomóc - powiedziała zapamiętale. - Jeżeli mnie odeślesz, nie będę wiedziała, od czego i jak zacząć, poza tym...

Nie skończyła zdania. Po chwili Tyrone rzekł:

- Czy twój ojciec nie sprzeciwi się takim zamiarom?

- Nie sędzę, by mój ojciec w ogóle przejmował się tym, co robię - odparła Nevada. - Lecz zdajesz sobie sprawę, jak zareagują moi przyjaciele, znajomi i co gorsza, prasa! Wszystko omówią i opiszą. Zanim się spostrzeżę, posadzą mnie w zarządzie jakiejś organizacji charytatywnej, gdzie nie będę miała żadnego kontaktu z dziećmi i nie będę miała możliwości opieki nad nimi tak jak tutaj.

- To rzeczywiście może tak wyglądać - zgodził się.

- Więc... czy mi pomożesz?

Głos Nevady wyrażał żarliwość, a oczy pasję, której nie widział przedtem.

Stał blisko niej wpatrując się w jej twarz. Potem rzekł cicho:

- Myślę, że lekarstwem na twoje zmartwienia jest dziecko, Nevada, lecz dlaczego nie twoje własne?

Patrzyła na niego zdumiona. Potem powoli, bardzo powoli, objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. Wprost nie mogła uwierzyć, że to prawda.

- Może ja mógłbym ci je ofiarować? - zapytał. Wydało się jej, że cały świat znieruchomiał, potem poczuła na ustach jego wargi.

Gdy ją całował, wiedziała, że właśnie tego pragnęła, za tym tęskniła, i że spełniały się jej najskrytsze marzenia.

Początkowo całował delikatnie, jakby obawiał się ją spłoszyć.

Potem, gdy poczuł pod wargami miękkość jej ust i że instynktownie przywarła do niego, zaczął całować namiętnie, natarczywie, z żarem.

Miała wrażenie, że stali się częścią zachodzącego słońca, różowych urwisk, uroku doliny. Serce wyrywało się ku niemu.

Podniósł głowę, by spojrzeć w głąb jej błyszczących oczu i na drżące usta. Szeptala słowa, które wprost cisnęły się jej na usta:

- Kocham cię! Kocham cię!

- Ja też cię kocham - odpowiedział Tyrone. - Czy naprawdę myślałaś, najdroższa, że dopuściłbym do tego, by zamiast moimi, miałabyś się opiekować cudzymi dziećmi?

- Myślałam, że chcesz... mnie odesłać.

- Na długo przedtem, zanim cię tu przywiozłem, wiedziałem, że należysz do mnie i że nie ma już dla ciebie powrotu do tamtego świata.

- Ale ty nienawidziłaś mnie, gardziłaś mną i byłaś tak... okrutny.

- Wiedziałem, że w głębi duszy jesteś inna, mój skarbie. Dlatego byłem okrutny. Nie wiedziałem przecież, ile wycierpiałaś.

Znowu ją pocałował, a gdy przyłgnęła do niego i poczuł, że drży, podniósł głowę i stanowczo oznajmił:

- Nigdy nie będziesz już ani sama, ani samotna, obiecuję ci, kochana. Tak pragnę twojej miłości.

- A jeśli... znudzę cię... a jeśli okaże się... że kocham cię zbyt mocno?

- Nie możesz kochać mnie zbyt mocno, a poza tym pragnę nie tylko twojej miłości, kochanie, ale wszystkiego co należy do ciebie, twoich oczu...

Pocałował je.

- ... twych przepięknych, płomiennych włosów. Dotknął jej lśniących rudych włosów.

- Gdybyś tylko wiedziała, jak trudno było ich nie dotykać i nie całować cię.

Pocałował jej policzki, kąciki ust, a potem usta.

- Pragnę całować całe twoje piękne ciało, moja śliczna - powiedział - a najbardziej twoje małe, ufarbowane henną, nóżki.

Nevada spojrzała na niego błyszczącymi oczami, potem westchnęła i ukryła twarz na jego piersi.

- Kocham cię i pragnę, byś też mnie kochał - szepnęła - lecz jakże mogę konkurować z... tancerką?

Tyrone znieruchomiał, zupełnie zaskoczony. A gdy przytuliła się do niego, ujął jej brodę i odwrócił jej twarz w swoją stronę.

- Tancerka? - zapytał.

Gdy jednak zobaczył jej minę, roześmiał się.

- Jesteś zazdrosna! O, moje niedorzeczne kochanie, jesteś zazdrosna i nie masz o niczym najmniejszego pojęcia!

- Ona była tak... powabna i widziałam, jak szejek podarował... ją... tobie.

- Tak, widziałas - zgodził się Tyrone. - Lecz gdybyś trochę lepiej znała ten kraj, moja najdroższa, wiedziałabyś, że wszystko, co zachwyci cię w marokańskim domu automatycznie jest ci ofiarowane.

Pocałował Nevadę w czoło i mówił dalej:

- Szejek, jak można się było tego spodziewać, ofiarował tancerkę mnie - ponieważ byłem honorowym gościem. Jego obowiązkiem było wykazać taką uprzejmość, a moim - odmówić przyjęcia tak hojnego podarunku.

- Odmówiłeś?

Oczy Nevady płonęły, usta drżały i były blisko jego ust.

- Odmówiłem, kochanie, ponieważ byłem zauroczony kimś innym, kimś bardzo nieposłusznym, lecz porywającym, kogo już wtedy kochałem, choć nie chciałem się do tego przyznać.

- A ja broniłam się przed tym, by się w tobie nie zakochać - szepnęła Nevada - a gdy myślałam o tancerce...

Znowu ukryła twarz na piersi Tyrone'a, a on zapytał łagodnie:

- Co o niej myślałaś?

- Wydaje mi się, że... nie znam się... dobrze na tym... ale tak pragnęłam być w twoich... ramionach... tak pragnęłam być... blisko ciebie... i abyś kochał mnie tak jak, zdawało mi się... ją kochałeś.

- Miłość, którą czujemy do siebie, moja najdroższa - powiedział Tyrone - różni się bardzo od tej, którą mogłaby mi ofiarować tancerka czy też jakaś inna kobieta.

Mocniej objął ją ramionami i rzekł:

- Całe życie szukałem kobiety, którą kochałbym tak mocno jak ciebie. Może dlatego, że mieszkam na Wschodzie, chciałem ją porwać, zdobyć, być pewnym, że należy tylko do mnie i nie będzie należeć do nikogo innego.

- Kocham... cię! - powiedziała Nevada patrząc na niego. - Kocham cię... bezgranicznie, każdą cząstką mej istoty... i nigdy, nigdy nie będę kochać innego mężczyzny.

- Aby mieć pewność, że właśnie tak będzie chyba będę musiał trzymać cię tutaj - powiedział Tyrone - i nigdy nie pozwolić na to, byś choć spojrzała na innych mężczyzn albo wyjeżdżała bez lithamu na twarzy.

- Zrobię tak... jeśli tego zechcesz.

- Zrobisz tak?

- Jedyne, czego pragnę, to być z tobą. Wypełniasz całe moje życie, jesteś tylko ty... tylko ty... tylko ty!

Jego wargi stłumiły jej ostatnie słowa. Pocałował ją tak namiętnie, że zabrakło im tchu. A gdy spojrział na nią, zobaczyła, że w jego oczach odbijają się promienie słońca.

- Kocham cię po tysiącokroć - powiedział - i choć chciałbym cię mieć tylko dla siebie, niestety, mamy jeszcze wiele do zrobienia w tamtym świecie.

- Co... mianowicie - Nevada zapytała lękliwie.

- Przez chwilę wydawało się, że wszystkie inne sprawy nie mają znaczenia - odparł Tyrone. - Ale prawda jest inna. Otóż, zaproponowano mi stanowisko, które, jak sądzę, zaakceptujesz.

- Jakie stanowisko? - zapytała.

- Wczoraj otrzymałem list z Ministerstwa Spraw Zagranicznych - powiedział. - Mam zostać w Maroku jako obserwator przez co najmniej rok. Spodziewają się, że wkrótce będzie się tu wiele działo.

- Co się będzie działo? - zapytała Nevada zaintrygowana.

- Brytyjczycy sądzą, chociaż oficjalnie o tym się nie mówi, że Francuzi będą chcieli zająć Maroko - powiedział Tyrone Strome. - Jeżeli tak się stanie, będę chyba jedynym Brytyjczykiem, który będzie miał całkowitą swobodę poruszania się po tym kraju, dzięki moim szczególnym więziom z Marokańczykami. Raporty, które będę wysyłał do Anglii, będą więc miały wagę dyplomatyczną.

- I mogę zostać z tobą? - zapytała Nevada.

- Czy sądzisz, że zgodziłbym się na coś innego?

- Brzmi to zbyt wspaniale, zbyt cudownie, że mogę zostać z tobą wśród tych wszystkich ludzi, których już pokochałam.

Przerwała, potem rzekła podniecona:

- Nauczysz mnie ich języka?

- Wielu rzeczy muszę cię nauczyć - powiedział Tyrone - a najważniejsze to nauczyć cię kochać mnie.



- Ja już cię kocham, tak bardzo, że chyba nie można bardziej.

- Zapewniam cię, że to, co czujesz, jest zaledwie koniuszkiem góry lodowej - powiedział Tyrone. - Och, moje cudowne, małe kochanie, jesteś tak piękna. Twoje płomienne włosy mówią mi, że tkwi w tobie jeszcze wiele nie odkrytych ogników, które muszą zapłonąć pełnym blaskiem.

Nevada zarzuciła mu ręce na szyję i przysunęła się jeszcze bliżej.

- Naucz mnie kochać cię - prosiła. - Naucz mnie kochać cię tak, jak tego pragniesz. Nie wiem, czy istnieje drugi taki mężczyzna, tak wspaniały i cudowny jak ty.

Głos jej się załamał i dopiero po chwili dodała:

- Czy jesteś całkiem pewien, że to nie jest tylko... mrzonka, sen i że po przebudzeniu nie okaże się, że nie jesteśmy w tym rozkosznym różowym... edenie, lecz umieramy z pragnienia gdzieś... na pustyni?

Tyrone roześmiał się, potem wziął ją na ręce, przeszedł przez pokój i położył na atlasowych poduszkach.

Zdjął kolczyki, by mógł całować jej uszy, potem odchylił haftowany kaftan, by pocałować jej szyję.

- Kocham cię! - powiedział. - Kocham cię, jak nigdy przedtem nie kochałem żadnej kobiety. Twoja skóra jest delikatna jak płatki magnolii.

- Całuj mnie... spraw, bym cię kochała! - rzekła Nevada. Jej głos, przepelniony namiętnością, stał się głęboki i był prawie tak niski jak głos Tyrone'a.

Całował ją gwałtownie, namiętnie, z pożądaniem.

Pragnęła, by ją zdobył, tak jak tego pragnął, i by na zawsze nią zawładnął.

Nie była już dłużej sobą, tylko częścią jego istoty, gotowa spełnić każde jego życzenie, oddać mu ostatnie tchnienie.

Przywarła do niego. Przez cienki jedwab kaftana poczuła dotyk jego mocnych rąk.

To było tak porywające, że poczuła jakby nie krew, ale płomień płynął w jej żyłach, wypełniał żarem wargi i jakby nie usta, lecz płomienie dotykały jego warg.

- Kocham... cię.

Nie była pewna, czy powiedziała to głośno czy tylko w głębi serca.

- Boże! Jak bardzo cię pragnę - głos Tyrone'a, przepelniony namiętnością, był stłumiony i głęboki.

I nagle, gdy tak pragnęła, by tulił ją jeszcze mocniej i mocniej, rozluźnił uścisk. Spojrzała na niego, zaniepokojona.

- Co... się stało? Czy coś... złego? - zapytała.

- Nic złego się nie stało, moja najdroższa.

- Ależ stało się! - zaprotestowała. - Dlaczego przestałeś mnie całować?

Tyrone uśmiechnął się.

- Idziemy.

- Wychodzimy?

- Musimy znaleźć Frazera. Musimy wziąć ślub, kochanie. Chyba że chcesz, bym dał ci dziecko, zanim zostaniesz moją żoną.

- Czy możemy pobrać się teraz... tak od razu? - zapytała Nevada.

- Wprawdzie odbędzie się to według obrządku kościoła szkockiego - odparł - uważam jednak, że pozostanie ze mną dziś wieczorem byłoby dla ciebie zbyt niebezpieczne.

Powiedziawszy to, roześmiał się. Nevada wstała i przytuliła się do Tyrone'a. Potem, podnosząc głowę, rzekła:

- Chociaż nie obawiam się takiego niebezpieczeństwa, jednak chcę zostać twoją żoną.

- Właśnie tego pragnę, byś została moją żoną natychmiast i na zawsze - odparł Tyrone. - Kiedy się już ze mną zwiążesz, nie będziesz mogła uciec ani wrócić do tamtego świata.

Żartował sobie z niej, ale oczy Nevady były bardzo poważne.

- Nie mogę sobie wyobrazić nic wspanialszego niż być z tobą... tylko z tobą.

- ... i z naszymi dziećmi - dodał Tyrone.

- Będziemy mieli dużo dzieci - podjęła Nevada - żeby nie były tak samotne jak ja, odrzucona i nieszczęśliwa, tylko dlatego, że nikt nie chciał mnie kochać.

- To się już nigdy nie zdarzy - rzekł Tyrone. - Okryj się czymś i, na miłość boską, załóż litham! W przeciwnym razie, jeżeli będziesz wyglądać tak, jak teraz, całe zastępy szejków będą usiłowały cię porwać i zawieźć do swoich haremów!

- Chcę być tylko w twoim haremie - powiedziała namiętnie Nevada, a gdy zobaczyła wyraz jego oczu, dodała szybko:

- Ale nie będzie tam nikogo oprócz mnie! Jeżeli bodaj raz spojrzysz na inną kobietę... wydrapię jej oczy... lub zaszytuję na śmierć!

- Możesz być sobie zazdrosna, moja najdroższa - uśmiechnął się Tyrone - lecz zapewniam cię, że jeśli chodzi o siłę uczuć, w porównaniu ze mną jesteś amatorką!

Ujął jej brodę i odwrócił twarz do siebie.

- Zanim pobierzemy się, pozwól, że coś wyjaśnię. Jako moja żona będziesz zachowywać się należycie i roztropnie, w przeciwnym bowiem razie obmyślę serię znacznie gorszych kar niż te, które ci dotąd wymierzyłem!

Nevada roześmiała się i przywarła ustami do jego ust.

- Czy nadal uważasz, że jestem diabolicą? - zapytała łagodnie.

- Jesteś taka cudowna! Fascynująca! Niezwykła! I taka kobieca!

To właśnie pragnęła usłyszeć. Westchnęła, przepelniona szczęściem.

- Jestem twoją kobietą - szepnęła - na zawsze, i proszę. .. ponieważ kocham cię tak bardzo i pragnę cię tak... rozpaczliwie, szaleńczo i tak namiętnie... pobierzmy się szybko.

Wargi Tyrone'a spoczęły na jej ustach, a ona zapłonęła ogniem, który wkrótce pochłoniął ich oboje.

Stopili się z pięknem doliny, różowego kasbahu, różowych urwisk, z palącym słońcem, niebem usianym gwiazdami i wiatrem wiejącym z pustyni.

Była to głęboka miłość i zapowiedź czegoś tak zagadkowego i niepojętego, że pewnie całe życie zajmie im odkrywanie wspaniałości tego uczucia.

- Jesteś moja - rzekł Tyrone. - Moja tak bardzo, że twoje myśli są moimi myślami, twoje serce moim sercem, a twoje ciało jest moim, od samego koniuszka tej przepięknej główki do paluszków maleńkich stóp.

- Kocham... ubóstwiam... uwielbiam cię - szepnęła Nevada.

Głos jej się załamał na ostatnim słowie, pochłoniętym ustami Tyrone'a, który tulił Nevadę, całkowicie bezwolną i bezgranicznie szczęśliwą.